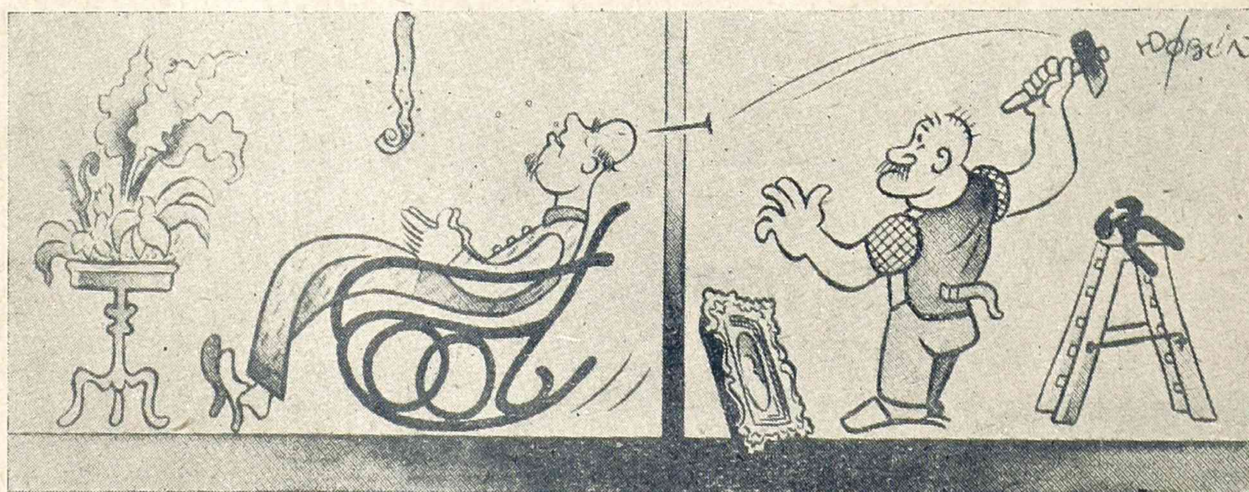
ŚWIAT



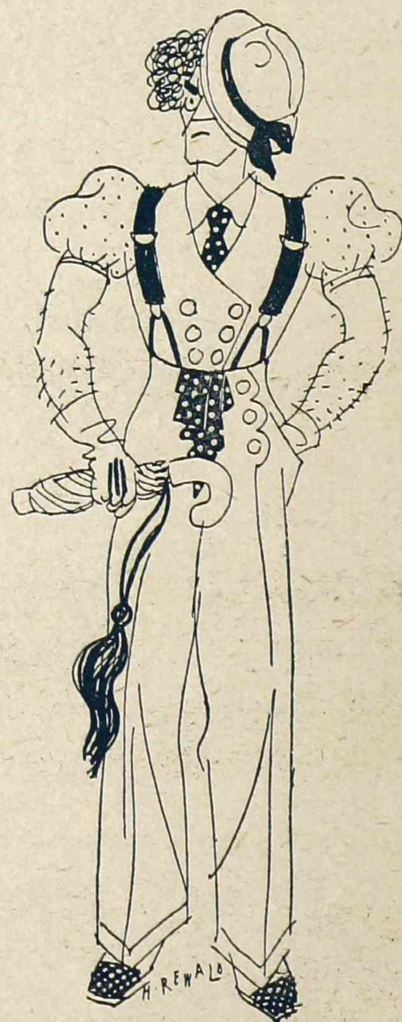
Nr. 46. DNIA 12 LISTOPADA 1932 ROKU

TREŚĆ:

Zalety współczesnego budownictwa



BEZPIECZEŃSTWO ŻYCIA W TANICH DOMKACH



Projekt dostosowania mody męskiej do dzisiejszej mody kobiecej

„Die Lustige Viste"

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
WARSZAWA, DNIA 12-go LISTOPADA 1932 ROKU
ROK XXVII • NR. 46 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY

Pamięci Lotników Polskich,

którzy złożyli swe życie na ołtarzu wolności Ojczyzny i jej udziału w zdobywczym pochodzie cywilizacyjnym świata poświęcona jest dzisiejsza rocznica odzyskania Niepodległości.

W dowód hołdu całego Narodu, składanego Bohaterom i Męczennikom przestworzy, staje na jednym z najpiękniejszych placów stolicy pomnik Lotnika, tego nieustraszonego rycerza naszych czasów, który zapałem swym, odwagą i samopoświęceniem ratuje honor epoki materjalizmu i rehabilituje ją w oczach przyszłości.

Bo lotnictwo stwarza bohaterów nietylko podczas wojny; wymaga ono codziennego stawiania życia na kartę w latach pokoju, gdy wszyscy inni zajęci są własnemi, dalekiemi od wszelkiego niebezpieczeństwa sprawami. Dość powiedzieć, że młode nasze państwo miało 120 lotników poległych podczas wojny i przeszło trzy razy tyle po wojnie, w czasach pokojowych.

Nieustanny krwawy haracz, składany przez kierowców podniebnych pojazdów, dowodzi, że są oni bez przerwy na froncie bojowym. Front to tem piękniejszy, że wymierzony nie w ludzi, lecz w przemożne siły przyrody, tem szlachetniejszy, że nie godzi na życie cudze, tem ważniejszy, że przyczynia się do opanowywania przez ludzkość żywiołu, który zdawał się być dla człowieka niedostępnym.

W walce o podbój powietrza Polska wzięła udział od pierwszej chwili odzyskania Niepodległości i posuwa się coraz bardziej ku czołowym szeregom bojowników. Uświadomiliśmy to sobie dopiero w tym roku, dzięki świetnemu zwycięstwu w locie międzynarodowym ś. p. Żwirki i Wigury. Cios, jaki bezpośrednio po tem przyszedł, wstrząsnął całym narodem. Wtedy też pojęliśmy — nie w umysłach światłych jednostek, lecz w instynkcie wielkiej masy Narodu — czem jest lotnictwo i jakie zwycięstwo nad przestrzenią daje naszemu i przyszłym pokoleniom komunikacja powietrzna.

To powszechne uświadomienie sobie wagi lotnictwa sprawiło, że teraz właśnie, po wielu latach zwłoki i próżnych zabiegów, staje pomnik Lotnika dłuta prof. Edwarda Wittiga, jako symbol przejęcia się narodu ideją lotniczą i głębokiej dla niej czci.

Obok Grobu Nieznanego Żołnierza, który jest dowodem pietyzmu dla tych, co życie złożyli w walce o istnienie Państwa Polskiego, pomnik Lotnika będzie uwiecznieniem kultu bohaterów, co ponieśli śmierć lub codzień na śmierć wciąż są narażeni w imię potęgi naszego państwa, jego rozwoju i przynależności do ludów cywilizowanych świata.

W. G.

Dn. 11 listopada 1932 r.

BOHATEROWIE PRZESTWORZY

Z pierwszego zawistnego spojrzenia, jakiem gonił pierwotny człowiek podniebny lot ptaka, zrodziła się niewygasająca tęsknota za oderwaniem się od ziemi, na której życie od samej kolebki ludzkiego istnienia było ciężką, nieustającą walką.

Z tęsknoty tej powstała niejedna legenda o „latającym człowieku", a każda z tych legend miała finał tragiczny.

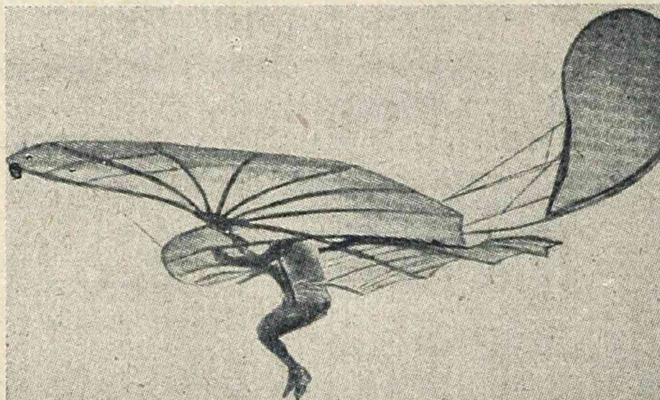
Martyrologja lotnika, — od przekazanego w podaniach, aż po dzień dzisiejszy — to tragiczna karta rozwoju tej najdumniejszej zdobyczy naszego wieku. Napełnia smutkiem i przejmującym żalem, —ale też stanowi jeden z najwznioślejszych rozdziałów nieustępliwej walki o podbój przestworzy.

Poprzez wszystkie kraje, oddzielone od siebie jeszcze nieprzebytemi morzami, snuje się ta sama legenda i daje opis maszyny zbudowanej na wzór ptaka. Bo nawet w legendzie rozumiał człowiek, że musi upodobnić się do tego latającego stworzenia, aby wznieść się nad ziemią.

Najstarszy opis wzlotu człowieka ku przestworzom znajdujemy w księgach Mojżesza, w opowieści fantastycznej o proroku Bileamie, który wraz z synami miał wzlecieć w powietrze i uratować się ucieczką z oblężonego miasta. Wzleciał, uniesiony nie wolą Boga, ale przy pomocy jakiegoś aparatu, który zbudował.

„Konstruktorowi" Ikarowi — odpowiadają inni. Mnożyły się o nich legendy wszędzie, gdzie osiągnięto pewien stopień cywilizacji. Król Jutlandji, Niding, jak śpiewają o tem sagi Wilkina i Niflinga, „uniósł się w powietrze na skrzydłach, które dlań zbudował Karol Wieland, przy pomocy brata Egila. Religijna pieśń Hindów wyraźnie mówi o... szybowcu: „Boski Hanuman wszedł na szczyt wzgórza i zapytawszy o radę mędrca Jambaranta, wzniósł się ku górze i uleciał..." Mistrz Platona, Aischylos, nauczał 400 lat przed N. Chr. o latającej maszynie. Jest też mowa o jakimś chińskim wynalazcy Han-Sin, który w 206 roku doby przedchrześcijańskiej lata i ginie pod szczątkami swego aparatu.

Od pierwszych, naiwnych prób naśladownictwa ptasiego lotu —



PRÓBY WZLOTÓW LILIENTHALA NA APARACIE BEZ MOTORU (1891—1896)

aż po najpotężniejsze dzisiejsze aeroplany, zawsze idei lotnictwa przodują owe słowa, napisane przez Ottona Lilienthala, jako przykazanie nowoczesnego lotnika: „Każdy ptak jest nadpowietrznym akrobatą. Kto chce panować w przestworzach, musi zdobyć umiejętność naśladowania ptaków. Będziemy wiele lat jeszcze latali i spadali, latali i spadali — aż wreszcie nauczymy się latać — nie spadając".

Tak w 1891 roku pisał Lilienthal w książce p. t. „Lot ptaków, jako podstawa lotnictwa": Historja nowoczesnego lotnictwa zaczyna się właśnie od niego. Wszystko bowiem, co przedtem — od Leonarda da Vinci, który w 1495 r. buduje teorję lotów, poprzez Borelli'ego (1680), Panctona (1768), zegarmistrza Degena (1807),—oparte jest o kategoryczne twierdzenie, iż nie można latać bez poruszania skrzydłami, zostaje przekreślone przez Lilienthala, który swą teorję opiera na szybowaniu w powietrzu, a nie na pracy skrzydeł.

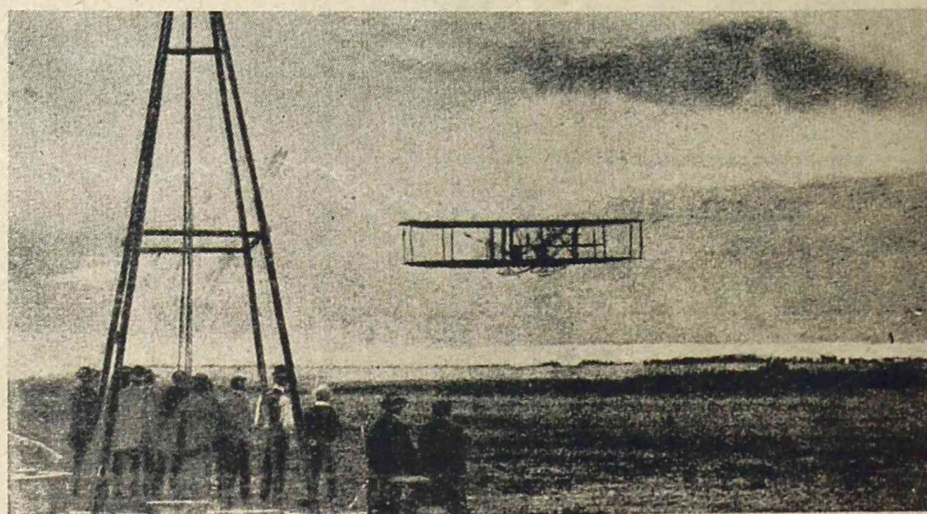
Wierny swej zasadzie, Lilienthal zaczyna latać — bez motoru, oczywiście, którego jeszcze nie wynaleziono. Lata i spada, lata i spada. W okresie 1891 — 1896 dokonał tysięcy próbnych lotów, które dochodzą do 200 — 300 metrów. Kiedy odgadł wreszcie zasadę dzisiejszego dwupłatowca, ginie 9 sierpnia 1896 r. pod jego szczątkami.

Zaczyna się długa doba martyrologji bohaterów podniebnych. Są w tej walce kartki szczególnie dramatyczne — to dzieje pionierów, którzy jednocześnie wydzierali tajemnicę technice, walczyli z przestworzami — i musieli staczać może najcięższe boje — z własnemi społeczeństwami, pełnemi niewiary, szyderstwa i obojętności dla wielkiej idei.

Dzieje Klemensa Adera i jego 27-letniej, upartej, fanatycznej pracy, dziś oceniane, jako wręcz genialne rozwiązanie wielu zagadzień lotniczych, losy Tatin'a, tego twórcy z 1879 r. aparatu niemal całkowicie podobnego do dzisiejszego monoplanu, jego tragiczna przyjaźń z Nadarem, który w 1880 roku wydaje w Paryżu pierwsze w dziejach ludzkości pismo lotnicze „Aeronauta", dla którego zdobywa 42 prenumeratorów; list Wiktora Hugo, w którym pisze do Nadara: „Podbój powietrza przez człowieka — to największa rewolucja w dziejach ludzkości. Otworzy ona klatkę odwieczną, wypuści na wolność duszę i ciało człowieka" — wszystkie te pamiątki stanowią dziś relikwie specjalnego muzeum, poświęconego lotnictwu. Wtedy były bezpłodnym wysiłkiem, daremną udręką fanatyków rodzącego się z niebytu lotnictwa. Wiemy, jak szybko, jak nieoczeki-



PIERWSZY PRZELOT FARMANA POZA AERODROMEM, Z CHALONS DO REIMS (30/X 1908)



PIERWSZE PRÓBY UTRZYMANIA SIĘ W POWIETRZU BRACI WRIGHT, DOKONANE POD MANS (1908)

Ci, co zginęli śmiercią lotnika



Por. Edmund Graves († 1/12 1919)



Kapitan Mac Callum († 31/6 1920)

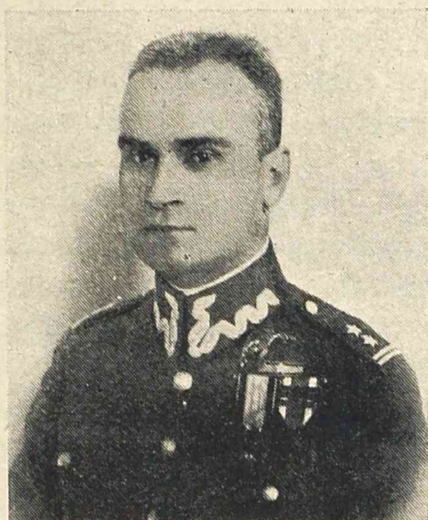
Członkowie eskadry amerykańskiej, polegli w obronie Polski i cywilizacji 1920 r.



Kapitan Artur Kelly († 15/7 1920)



Płk. Aleksander Serednicki († 23/4 1926)



Ppłk. Zdz. Zych-Płodowski († 11/5 1927)



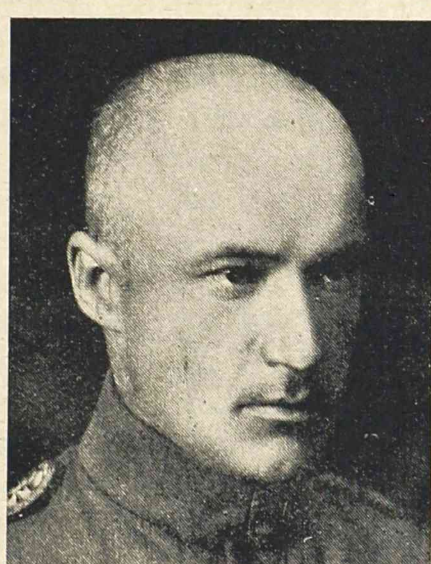
Mjr. inż. Stefan Stec († 11/5 1921)



Por. Antoni Święcicki († 25/6 1920)



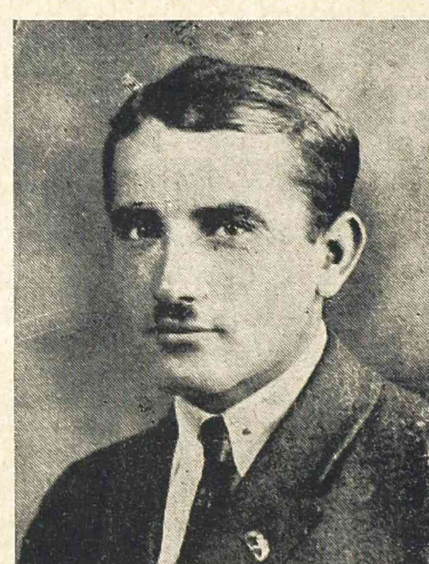
Ppor. Stefan Jeżnach († 5/8 1920)



Kapitan Stefan Bastyr († 6/8 1920)



Por. Kazimierz Szałas († 31/7 1928)



Inż. Zygmunt Puławski († 21/3 1931)



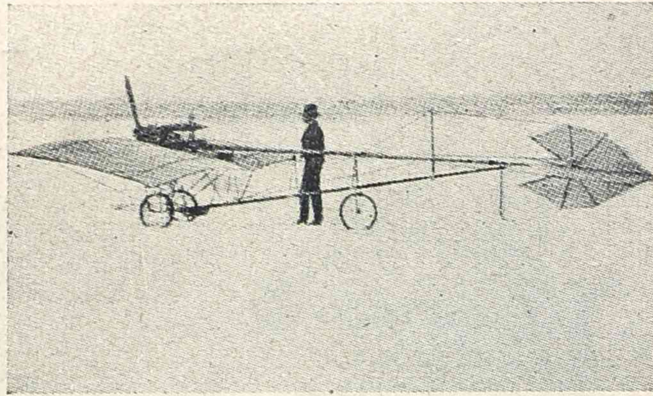
Kap. Franciszek Żwirko († 11/9 1932)



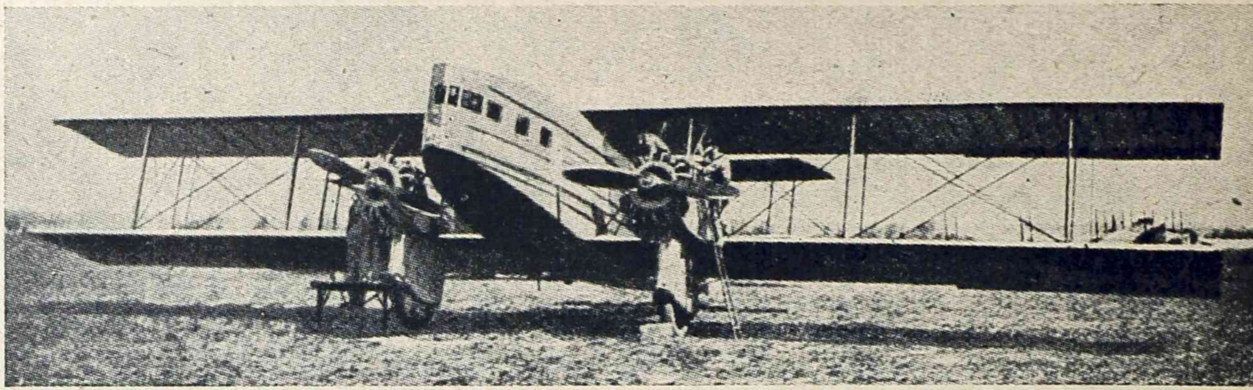
Major Ludwik Idzikowski († 13/7 1929)



Inż. Stanisław Wigura († 11/9 1932)



PIERWSZY AEROPLAN SANTOS-DUMONTA



AEROBUS PASAŻERSKI, KURSUJĄCY OBECNIE MIĘDZY PARYŻEM A LONDYNEM

wanie rozpoczęła się era realizacji wszystkich doświadczeń, zdobytych przez nieuznanych wynalazców.

Od dnia 17 grudnia 1903 roku datują się narodziny lotnictwa w tej postaci, w jakiej ono istnieje obecnie. Skrzydła braci Wright otrzymały motor i śmigło. — Tajemnica lotu została wydarta naturze. Legenda Ikara przemówiła warkotem, który jest najpatetyczniejszym głosem współczesności, zawieszonym ponad ziemią.

Wiemy, co było dalej: dopiero 15 września 1908 roku odbył się pierwszy lot z pasażerem, a 31 grudnia tego roku bracia Wright przebyli w powietrzu 2 godziny i 20 minut, pokonywując przestrzeń 124 kilometrów.

Amerykanom szybko wydzierają palmę pierwszeństwa francuzi: Farman, Bleriot, Voisin — to nazwiska nietylko pionierów, to jednocześnie jeden nieprzerwany łańcuch niebezpieczeństw, igrania ze śmiercią, wydzierania z najwyższym trudem i największemi ofiarami każdego skrawka zdobyczy ponad ziemią.

Tam, gdzie 13 stycznia 1908 r., w Issy des Moulinots Farman odbył pierwszy lot, stoi dziś pomnik spiżowy. Zaczęła się w dziejach ludzkości nowa statystyka, której końca nie widać. Każda z jej pozycji oznacza śmierć chwalebną w imię owej legendarnej tęsknoty, z każdą związana jest jakaś nowa zdobycz, nowe doświadczenie, okupione najdroższą ceną — życia.

Oto jak wyglądają pierwsze pozycje tej statystyki, nad którą ludzkość złożyła krwawe ofiary:

w r. 1908—zginął 1 lotnik
„ 1909—zginęło 3 „
„ 1910— „ 30 „
„ 1911— „ 79 „
„ 1912— „ 143 „
„ 1913— „ 200 „

do 1 czerwca 1914 – zginęło 150 lotników.

Do krwawej hekatomby, złożonej podczas wojny na polach wszystkich bitw, obfitą daniną przyłączyli się lotnicy wszystkich walczących państw. — Czasy pokojowe przyniosły wyzwolenie skrzydłom, pozbawiając je straszliwej, niszczycielskiej mocy. Opromieniły one naszą erę niewygasającą sławą „zdobywców przestworzy". — Tytuł ten przedewszystkiem należy się „chłopcu z nieba" — Karolowi Lindbergh'owi, który pierwszy przeleciał Atlantyk.

Długą listę ofiar, złożonych nie na polu walki orężnej, ale pokojowego podboju przestworzy, otwierają nazwiska dziś przyprószone niepamięcią: w 1910 roku Leo Chavez przeleciał nad Alpami i zginął przy lądowaniu. Lata całe wysiłków, uporu i walki wpisały na tę listę tysiące bohaterów. Zjawiają się na niej już i polskie nazwiska, coraz częstsze, coraz głośniejsze. W 1921 roku zginęło 16-tu polskich lotników, 1922 — 13, 1923 — 26, 1924 — 18, 1925 — 19, 1926 — 17, 1927 — 11, 1928 — 26, 1929 — 27, 1930 — 23, 1931 — 36 i w nieskończonym 1932 — 12.

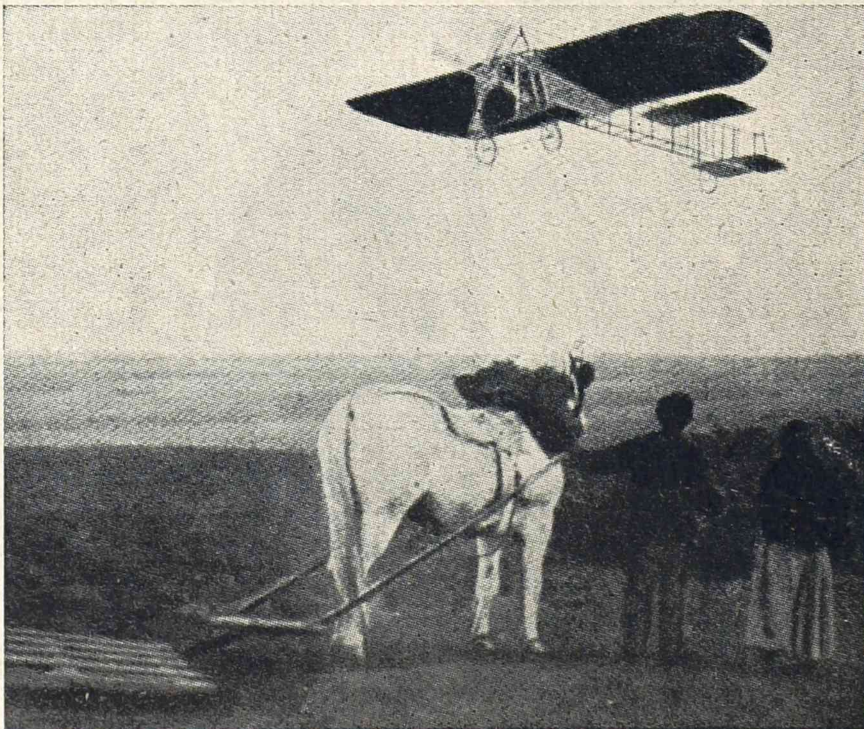
Są w tej bolesnej litanji nazwiska tak sławne, tak zasłużone, jak: Haber-Włyńskiego, jednego z pionierów lotnictwa polskiego (1921), pułk. Aleksandra Serednickiego (1926), pułk. Zycha-Płodowskiego (1927), kap. Stefana Bastyra, twórcy lotnictwa myśliwskiego (1920), Jerzego Wieniawy-Długoszowskiego (1931), Kazimierza Szałasa (1928), Ludwika Idzikowskiego (13/7 1929), wreszcie Żwirki i Wigury, tych tragicznych przyjaciół, symbolu zrośniętego ze sobą konstruktora i pilota.

Bowiem osoba konstruktora-naukowca związała się w historji lotnictwa nierozerwalnie z osobą nieustraszonego wykonawcy, eksperymentatora—lotnika. Sojusz, zawarty pomiędzy mózgiem lotnictwa — laboratorjum, pracownią aerodynamiczną, a jego ciałem—lotnikiem, scementowała jakże często wspólnie składana tragiczna ofiara życia konstruktora i pilota, tych braci nadpowietrznych.

„Śmierć lotnicza" — żałobne uwieńczenie tylu przezwyciężonych wysiłków, epilog zwycięskiego lotu w błękicie nieba, wzniesienie się na wyżyny zasług i sławy—to może jeden z najwznioślejszych symbolów współczesności, szukającej nowych szlaków dla swego niepowstrzymanego postępu cywilizacyjnego.

I jak niema już dziś pod niebem bezkresnem takiego odcinka ziemi, nad którym w sinym błękicie nie zadźwięczałaby bodaj raz radosna pieśń śmigła—tak niema cywilizowanego narodu, walczącego w imię wspólnej zdobyczy ludzkości, któryby wśród swych grobów najdroższych nie miał mogiły, nad którą w ramiona krzyża nie wplotły się rozwarte ramiona śmigła — skrzydła człowieczego. Wspólnemi bywały dla całej ludzkości radość i duma z odnoszonych zwycięstw, — wspólną była i będzie żaoba; bo ci, którzy przekreślali ustanowione na ziemi granice, są twórcami nowej ery — solidarnego wysiłku myśli na chwałę i dobro całej ludzkości.

Józef Brodzki



REKORDOWY PRZELOT BLERIOTA W 1908 R. NA PRZESTRZENI 14 KM. Z DWUKROTNEM LĄDOWANIEM

Polska Komunikacja Lotnicza

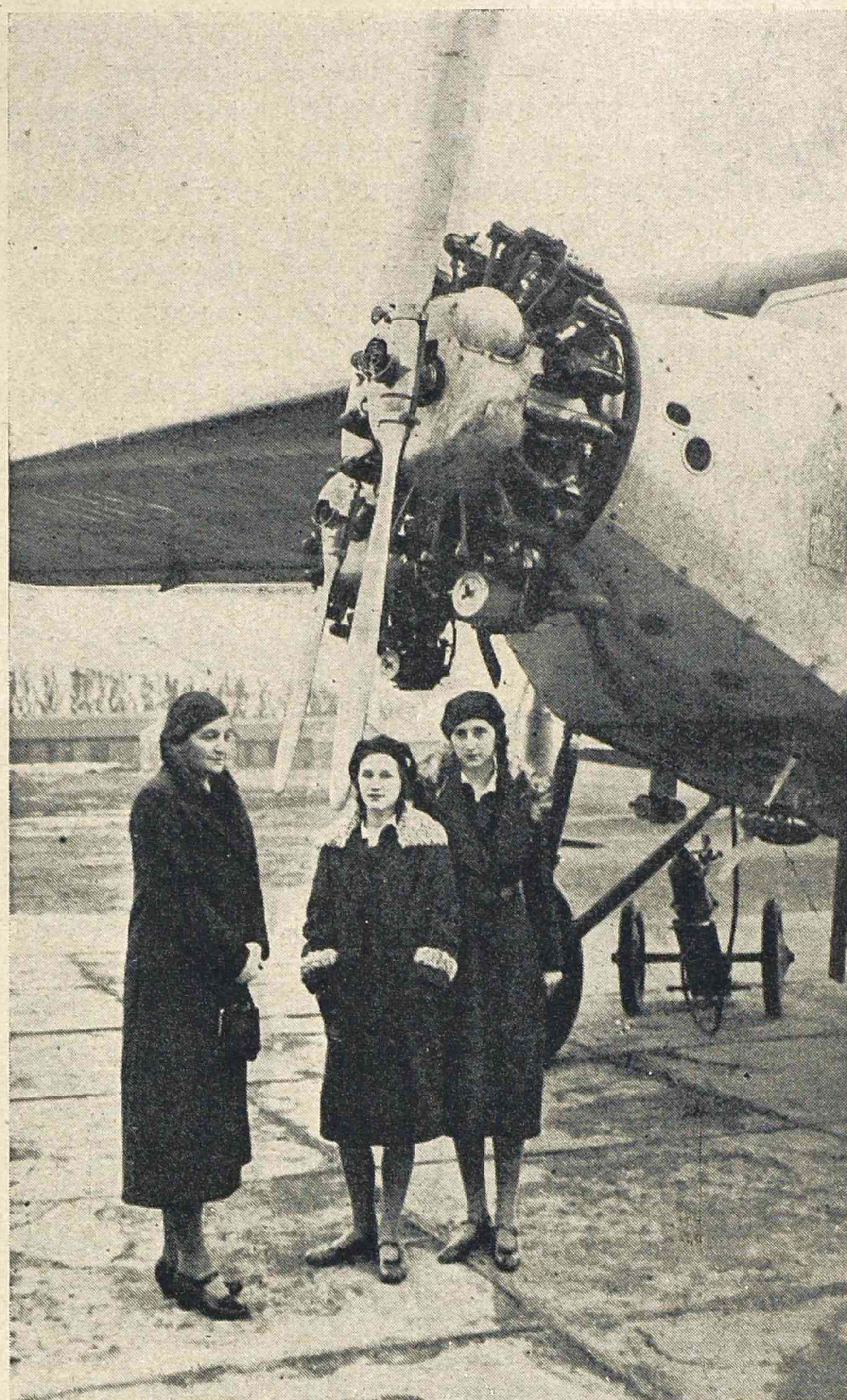
Jednem z największych bogactw naturalnych naszego kraju są drogi podobłoczne, biegnące wszerz i wzdłuż nad Polską. Stanowią one bowiem najkrótsze szlaki komunikacyjne, łącząc zachód ze wschodem i północ z południem Europy, oraz wolne są one od przeszkód atmosferycznych, panujących w innych połaciach Europy; pod niemi znajduje się jedna olbrzymia równina, gwarantująca samolotom bezpieczne lądowanie niemal wszędzie.

Zużytkowanie naszych przestworzy przez zorganizowanie na nich wielkich gościńców tranzytowych jest tem większym obowiązkiem, iż granice polityczne wytknęły nam zbyt nikły dostęp do morza, aby można było w szerszym zakresie rozwijać żeglugę wodną.

Pomimo piętrzących się trudności finansowych, organizacja naszej komunikacji lotniczej szybkiemi krokami posuwa się naprzód, doskonaląc się z roku na rok. Systematyczną i rozsądną pracą doszliśmy dzisiaj do tego, że samoloty nasze, wykonane w Polsce rękami polskich robotników i z polskich surowców, kierowane przez polskich pilotów ze 100%-em bezpieczeństwem i największą regularnością, utrzymują komunikację lotniczą z Bułgarją, Grecją, Łotwą, Estonją i Rumunją, nadto nasze samoloty handlowe dolatują do Austrji i Czechosłowacji. Bardzo dużo też zrobiono w niezwykle trudnej i kosztownej dziedzinie lotnictwa handlowego, jaką jest rozbudowa portów lotniczych i przystosowanie tych portów do lotów nocnych.

Najlepszym sprawdzianem naszej komunikacji lotniczej jest uzyskiwane przez nią bezpieczeństwo. Charakterystyczna ta cecha polskiej komunikacji lotniczej, znana nietylko w kraju, ale i daleko poza jego granicami, wyrobiła naszej żegludze powietrznej jak najlepsze imię, a polskie samoloty komunikacyjne uważane są wszędzie za wzór punktualności i sprawności.

Od czasu istnienia komunikacji lotniczej w Polsce, t. j. od roku 1921 do dnia 1 października 1932 r., samoloty nasze przebyły ponad 10 miljonów km., przewożąc około 90.000 pasażerów, 115.000 kg. poczty, 82.000 kg. gazet i 2.130 tonn towarów.



Pani Marszałkowa Piłsudska wraz z córkami Wandą i Jadwigą odbyła lot okrężny nad Warszawą samolotem komunikacyjnym P. L. L. „LOT", dając w ten sposób dowód zaufania do naszej cywilnej komunikacji lotniczej.

TYDZIEŃ ŚWIATA

Zwycięstwo Roosevelta

(s). Franklin Delano Roosevelt będzie wybrany Prezydentem Stanów Zjednoczonych na 3 zgromadzeniu elektorów w styczniu. Partja demokratyczna w wyborach wtorkowych zdobyła przygniatającą większość mandatów w tem Zgromadzeniu.

Zwycięstwo demokratów znaczy przewrót w dotychczasowych stosunkach politycznych USA. Republikanie rządzili krajem długie lata; krótkie przerwy, jak za Grovera Clevelanda i Woodrow Wilsona, spowodowane były raczej tarciami wewnętrznemi w stronnictwie republikańskiem, aniżeli przewagą demokratów. Kryzys światowy zmógł jednak potężną partję wielkiego przemysłu, banków i farmerów Środkowego Zachodu. P. Hoover odchodzi, ponieważ z jego imieniem łączy się odpowiedzialność za nieszczęsne lata kryzysu. P. Roosevelt przychodzi w aureoli zbawcy. Staje wobec pracy i wobec zadania, jakie rzadko kiedy przypadały w udziale jednemu człowiekowi w dziejach ludzkości.



F. ROOSEVELT

Europa, a wraz z nią Polska, witają wybór Roosevelta, widząc w nim zwolennika współdziałania ze Starym Światem i zwiększenia obrotu gospodarczego z zagranicą.

Wybory niemieckie

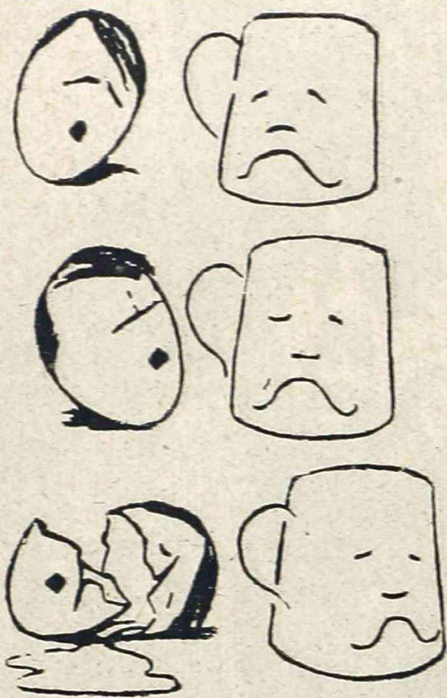
(V.). W wyborach najczęściej się zdarza, że niema wcale pobitych; wszyscy ogłaszają o swem zwycięstwie, wszyscy są zadowoleni. Wyniki ostatnich wyborów do parlamentu niemieckiego przedstawiają się wręcz odwrotnie: nikt nie może poszczycić się sukcesem, prócz chyba komunistów, którzy zdobyli o 700 tys. głosów więcej i podnieśli ilość swych przedstawicieli w Reichstagu równo do setki.

Mieć stu agentów sowieckich w parlamencie — ładna przyjemność!

Wszyscy inni wychodzą z głosowania pobici: hitlerowcy stracili 2 miljony głosów i 35 mandatów, socjaliści stracili przeszło 700 tys. głosów (tyleż, co zyskali komuniści) i 12 mandatów, Centrum katolickie straciło 400 tys. głosów i 6

mandatów, Niemiecko - narodowi wprawdzie zyskali 800 tys. głosów i 14 posłów, ale czyż można uważać za zwycięstwo rządu przeprowadzenie zaledwie 50 swoich posłów na ogólną liczbę 582?

Kanclerz von Papen poniósł bodaj największą porażkę ze wszystkich: 90% obywateli, głosujących



HITLER I HINDENBURG

na komunistów, socjalistów, centrowców i hitlerowców, wypowiedziało się przeciwko niemu. Czy może jeszcze udawać, że cieszy się poparciem większości narodu? Czy będzie oczekiwał na formalne votum nieufności w parlamencie? Czy skłoni marszałka Hindenburga do rozwiązania go po raz trzeci?

Sądzimy, że odpowiedź społeczeństwa jest zbyt wyraźna, aby można było ją w dalszym ciągu ignorować. Kanclerz v. Papen jest pogrzebany.

Ale z poza jego pleców już wygląda gen. Schleicher, który może wszcząć na nowo pertraktacje z Hitlerem i z Centrum katolickiem nad utworzeniem dla siebie większości, może też rządzić z ramienia prezydenta wobec niezdolności parlamentu do wyłonienia gabinetu, może wreszcie powiedzieć sobie, że jeśli się Papenowi wybory nie udały, to jemu — generałowi — udadzą się prędzej.

Jedno wydaje się pewnem: Niemcy nie cofną się już z drogi rządów dyktatorskich ani ku koalicji Wejmarskiej, ani ku spółce centrowo-socjalistycznej. Będą prawdopodobnie zmuszeni brnąć w reakcji — i mnożyć komunistów.

Stabilizacja w Niemczech

(j). Porównanie wyników trzech ostatnich wyborów parlamentarnych w Niemczech prowadzi do ustalenia niezmiernie pouczającego faktu stabilizacji nastrojów politycznych w tym kraju i nieulegającego zmianie układu sił społecznych.

Zgrubsza podzielić można 40 miljonową masę wyborców na trzy grupy: marksowską (socjalistyczno-komunistyczną), katolicką (centrum i bawarska partja ludowa) oraz mieszczańsko-narodową (hitlerowcy, nacjonaliści typu Hugenberga, ludowcy i drobniejsze grupki).

Wtedy wynik wyborów przedstawi się jak następuje (pierwsza liczba — mandaty, w nawiasach ilość głosów w miljonach):

	14.9.1930	31/7.1932	6/11.1932
Marksiści	220(13)	219(13.1)	221(13.1)
Katolicy	87(5.1)	97(5.6))	88(5.3)
Nacjonaliści	248(14.5)	284(17.2)	268(16.4)

Prawie pełna stabilizacja panuje w obozie robotniczym i katolickim. Wewnątrz obozu mieszczańsko - nacjonalistycznego następują znaczne przesunięcia. W lipcu 1931 roku Hitler pożywił się kosztem innych: ze 107 (6.4) wzrósł na 230 (13.7). Obecnie stracił dwa miljony głosów, które przeważnie wróciły, skąd przyszły, t. j. do Hugenberga i do ludowców.

W obu jednak obozach skrzydłowych, marksowskim i narodowym, następuje radykalizacja w kierunku komunistycznym u jednych i hitlerowskim u drugich.

Dyplomata z Manczukou

(s.). — Liga Narodów?

— Przecież to przybytek pustej gadaniny... Nic nie może zmienić w istniejącym stanie rzeczy.

— Raport Lyttona?

— Nieodrodne dziecię Ligi Narodów. Sprzeczne opinje, różne psychologjei poglądy złożyły się na dokument, który jaknajprędzej należałoby zapomnieć.



GEN. WENTSA SZI JUEN TING

— Rola Japonji w Mandżurji?

— Są to najbliżsi przyjaciele państwa Manczukou, z którymi łączy je sojusz obronny.

— Stanowisko Manczukou wśród innych państw?

Równy z równymi. Niepodległe państwo Mandżurji ma takie same prawa do życia i rozwoju, jak każde inne.

Tako rzecze generał Wentsa Szi Juen Ting, „representant personnel le (!) chef executif du Manchoukou, en mission en Europe", jak brzmi pełny tytuł pana generała, uwidoczniony na pięknie wylitografowanym bilecie wizytowym.

Generał Ting spędził kilka dni w Warszawie, w drodze do innych stolic europejskich, które ma poinformować o swojej ojczyźnie. Jest to wytworny starszy pan, władający doskonale angielskim, rozmowny, dowcipny, kulturalny. Towarzyszy mu pani Herta Olschewski, sekretarka, Niemka, która wyszła za mąż za Chińczyka. Towarzyszą mu również dyskretnie, ale stale, panowie z poselstwa japońskiego.

Ekspedycja japońska na Genewę

(s). Wielki wóz, naładowany od dołu do góry walizkami z najbardziej egzotycznemi nalepkami i nieczytelnemi nazwiskami, zajechał we wtorek wieczorem przed hotel Europejski. Hall zapełnił się postaciami małych, żółtolicych panów w okularach. Zastukały maszyny. Zbiegli się liczni dziennikarze warszawscy i korespondenci pism zagranicznych. W kilka minut po zjawieniu się w hotelu gości z Dalekiego Wschodu odbyła się już konferencja prasowa.

To p. Matsouka, delegat japoński na Zgromadzenie Ligi Narodów, które ma się zająć sprawą mandżurską, zatrzymał się na jedną dobę w stolicy Polski. W otoczeniu jego znajduje się trzydziestu doradców i sekretarzy oraz siedmiu dziennikarzy. Rząd japoński wyprawił całą armję dyplomatyczną na batalję genewską.

Dwudziestoczterogodzinny parlament

(Wig.). Jeden dzień trwał tylko Sejm — i został odroczony na miesiąc. Aby przez ten dzień zdołał odbyć pierwsze czytanie budżetu, t. j. wysłuchać exposé ministra skarbu i dyskusji nad niem.

P. minister Zawadzki przemówienie swe poświęcił wyłącznie sytuacji budżetowej, usprawiedliwiając się z wykazanego deficytu i wskazując, że częściowo da się go pokryć rezerwami skarbowemi, pozostałą zaś część—operacją kredytową w szczęśliwym wypadku, dalszemi oszczędnościami na administracji — przy trwaniu złej konjunktury. Jedno jest wykluczone—drukowanie pieniędzy bez pokrycia. P. minister Zawadzki wykazał dużo dobrej woli, trzeźwości i otwartości w przedstawianiu sytuacji skarbu; nie jest jego winą, że wobec zubożenia społeczeństwa nie należy ona do najlepszych.

Na tę stronę medalu kładli nacisk mówcy opozycyjni, dowodząc,

NOWI DYGNITARZE PAŃSTWOWI



Płk. Józef Beck, DOTYCHCZASOWY PODSEKRETARZ STANU, ZOSTAŁ MIANOWANY MIN. SPRAW ZAGRAN.

Fot. W. Pikiel



Dr. Jan Kanty Piętak, PIERWSZY PREZES NAJWYŻSZEGO TRYBUNAŁU ADMISTRACYJNEGO



Poseł Mikołaj Dolanowski, SEKRETARZ GENERALNY B.B.W.R. ZOSTAŁ MIANOWANY PODSEKRETARZEM STANU W MIN.SPR.WEWN.



Jan Szembek, DOTYCHCZASOWY POSEŁ POLSKI W BUKARESZCIE, ZOSTAŁ MIANOWANY PODSEKRETARZEM STANU W M. S. Z.



P. Edward Raczyński, NACZELNIK WYDZIAŁU M. S. Z. OTRZYMAŁ NOMINACJĘ NA STAŁEGO DELEGATA PRZY LIDZE NARODÓW

że położenie wszystkich warstw narodu: rolników, robotników, inteligencji i sfer gospodarczych pogarsza się coraz bardziej i że wskutek tego dochody państwa zmaleją, a deficyt budżetowy wzrośnie. „Na tem morzu powszechnej nędzy — powiada p. Niedziałkowski — powstała jakby wysepka szczęśliwości, specjalna warstwa dygnitarzy wraz z pewną warstwą polityków, którzy zupełnie inaczej odczuwają klęski gospodarcze, niż reszta społeczeństwa, którzy znajdują się o kilka pięter wyżej w swoim poziomie życiowym od poziomu życiowego reszty społeczeństwa".

P. minister Zawadzki i p. poseł Niedziałkowski są szwagrami. Jednak nie mogli się porozumieć i każdy pozostał przy swojem zdaniu.

. . . .

Nazajutrz po posiedzeniu plenarnem, zanim jeszcze nadeszło zarządzenie p. Prezydenta Rzeczypospolitej o odroczeniu sesji na dni

30, zebrała się komisja budżetowa celem rozdziału referatów. Poza budżetami poszczególnych resortów, należało jeszcze wyznaczyć referentów do kilku wniosków, zgłoszonych przez opozycyjny klub Narodowy. Przedstawiciele tego klubu domagali się, aby oni zostali referentami swoich wniosków.

— Dobrze — powiada na to poseł Polakiewicz, rzecznik większości rządowej — ale weźmiecie też kilka referatów budżetowych.

— O nie, — zastrzega się poseł Rymar — nie chcemy ponosić odpowiedzialności za budżet.

— No to nic nie dostaniecie! — zadecydowała większość i wszystkie referaty przydzieliła członkom Bloku Bezpartyjnego.

. . . .

Wszyscy posłowie ludowi zjawili się w sejmie z czarnemi przepaskami na lewem ramieniu dla zamanifestowania przeciwko strzałom do zbierających się wbrew zakazowi włościan, co pociągnęło za sobą w paru miejscowościach ofiary.

— Czy nosicie żałobę po stracie Michałkiewicza, Kulisiewicza i Fidelusa? — pytali ironicznie przeciwnicy.

Trzej ci posłowie wystąpili niedawno ze stronnictwa Ludowego i zawiązali nowy klub. Tak się złożyło, że reprezentują oni wszystkie trzy zabory i trzy dawne odłamy ludowców: p. Michałkiewicz był „piastowcem" z Wielkopolski, p. Kulisiewicz należał do Stronnictwa Chłopskiego w Kongresówce, a p. Fidelus do „Wyzwolenia" w Małopolsce.

Wszyscy oni dzisiaj przychylnie ustosunkowują się do rządu; niewiadomo jednak, dlaczego nie zgłosili się do Bloku Bezpartyjnego, w którym istnieje liczna grupa włościańska pod wodzą posła Kielaka.

. . . .

Dorocznym zwyczajem, przed otwarciem sesji odbyło się zebranie klubu B. B., na którem prezes Sławek wygłosił przemówienie, mające na celu podniesienie posłów na duchu.

— Z uśmiechem na ustach powinniście wejść na salę obrad — zakończył swą orację.

Wieść o tem rozniosła się natychmiast po kuluarach.

— Dziwna rzecz — żartowali z tego powodu posłowie opozycyjni, — jak ta sanacja naśladuje Sowiety. Przecież przed miesiącem wyszedł tam „dekret o zorganizowaniu śmiechu", aby przeciwdziałać ponuremu nastrojowi zrozpaczonego społeczeństwa.



TWÓRCY TRAKTATU WERSALSKIEGO W SZTUCE LUDWIGA: LLOYD GEORGE, CLEMENCEAU, MARSZAŁEK FOCH, WILSON, PADEREWSKI I BALFOUR

Konferencja pokojowa na scenie

(j). Nadzór nad teatrami londyńskiemi pełni Lord Szambelan Jego Królewskiej Mości. Jest to jedna z licznych osobliwości życia angielskiego, że teatry są w dalszym ciągu nadworną instytucją i że Lord Szambelan udziela licencyi na ich prowadzenie. Dygnitarz ten jest jednocześnie cenzorem teatralnym, dbającym o moralność i przyzwoitość w instytucjach widowiskowych, pozostających niejako pod opieką królewską.

Władza Lorda Szambelana kończy się jednak tam, gdzie teatr przestaje być przedsiębiorstwem zarobkowem. Teatr darmowy, albo prywatny, albo grający dla zaproszonych gości nie podlega cenzurze i opiece Jego Lordowskiej Mości. Tę lukę w prawodawstwie wyzyskiwały liczne gildje teatralne, urządzające przedstawienia w niedzielę, kiedy normalne teatry są nieczynne. Ostatnio posunięto się jeszcze krok naprzód. „Niezależny Klub Teatralny" wynajął wielki gmach Kingsway Theatre i daje tam przedstawienia codziennie, zmieniając repertuar co tydzień. Zaproszenie, za odpowiednią opłatą, służy jako bilet: nazwa i to zaproszenie są jedynemi rzeczami, któremi ten teatr klubowy różni się od komercjalnych.

Na pierwszy ogień poszła nowa sztuka Emila Ludwiga „Versailles" — reportaż teatralny o konferencji pokojowej. Inny teatr nie mógłby tego wystawić, ponieważ Lord Szambelan nie pozwala na ukazywanie na scenie postaci żyjących mężów stanu. Sztukę reżyserował słynny Komisarżewskij, ale nie umiał wlać życia do „pliki wycinków gazetowych i zbioru niedyskretnych karykatur", jak dowcipnie nazwano pracę Ludwiga. Radykalny „Manchester Guardian" złośliwie zauważył, że „istnieje niebezpieczeństwo usprawiedliwienia cenzury, która oszczędziłaby publiczności nudy „Wersalu".

Kraj bez jarzyn

(go) W kwestji odżywiania istnieją w Warszawie, szczególniej wśród zbyt szerokiej, jak na nasze potrzeby, sfery inteligencji, dwa problemy: za co zjeść obiad i co zjeść?

Pierwszy jest nieprzyjemny wogóle, drugi w szczegółach.

Hygieniści twierdzą, że mięso, zwłaszcza dla starszej degeneracji, po czterdziestce, nie jest zalecane.

— Więcej jarzyn, nabiału, owoców — nakazują.

Myślałby kto, że w kraju rolniczym łatwo o nie.

Wszystko to drogo kosztuje, jeśli wogóle istnieje. Jarzyn mały wybór, a owoce lepsze — niedostępne. Co zaś do nabiału, to konia z rzędem temu, kto się pochwali, że rano do kawy ma świeżą, prawdziwą śmietankę, jaką podają w najskromniejszych nawet kawiarniach w krajach logicznie i po kupiecku zorganizowanych.

Zaopatrzenie miast polskich w produkty rolne — to najpilniejsza reforma konstytucji państwowej.

ZE ŚWIATA



B. cesarzowa Zyta przybyła do Kolonji, by czuwać u łoża córki, znajdującej się w klinice



Król rumuński Karol II w towarzystwie następcy tronu Michała wita przybyłych z całego państwa wójtów

Premjer francuski Herriot podczas pobytu w Madrycie chciał zetknąć się bezpośrednio z tłumem miejskim. Był on przedmiotem powszechnej ciekawości i owacji mieszkańców

Echa artykułu

„Od ministerstwa do wydziału"

W związku z artykułami p. t. „Od Ministerstwa do Wydziału", w których autor, p. Z. Z. Z. poddał szczegółowej ocenie działalność b. Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz późniejszego Podsekretarjatu, Departamentu i Wydziału Kultury w Min. W. R. i O. P., prof. Skoczylas nadsyła nam enuncjację, której wydrukowania żąda na zasadzie art. 22 dekretu o przepisach prasowych.

Możemy zapewnić prof. Skoczylasa, że jego sprostowanie i wyjaśnienia wydrukowalibyśmy zawsze z najlepszej i nieprzymuszonej woli. Sądzimy, że autorowi artykułów, drukowanych w „Świecie", chodziło jedynie o wyświetlenie prawdy i wzbudzenie szerszego zainteresowania dla działalności wysokiego urzędu, któremu Państwo powierzyło opiekę nad kulturą, literaturą i sztuką polską.

Warszawa, dnia 31 października 1932 r.

Do Redakcji

Tygodnika „Świat"

w Warszawie.

W związku z artykułem w 42 numerze „Świata" z b. r. p. t. „Od Ministerstwa do Wydziału", proszę, na zasadzie 22 artykułu dekretu w przedmiocie tymczasowych przepisów prasowych, o umieszczenie następującego sprostowania:

Nieprawdą jest, jakobym objąwszy stanowisko dyrektora departamentu sztuki w Ministerstwie W. R. i O. P. powiedział sobie: „Precz z demokratyzmem w sztuce, poparcia państwowego godne są tylko pewne organizacje wybrane", natomiast prawdą jest, że w czasie mojego urzędowania korzystało z subwencyj departamentu sztuki 51 organizacyj i stowarzyszeń artystycznych.

Nieprawdą jest, jakoby „z pieniędzy przeznaczonych w budżecie na muzykę, teatry i zabytki, wypłacono około 300.000 zł. Instytutowi Propagandy Sztuki i wystawiono pawilon wystawowo-kawiarniany", natomiast prawdą jest, że w czasie mego urzędowania wypłacono referatowi literatury i teatrów 600.496 zł., referatowi muzyki 377.835 zł., referatowi zabytków 418.312 zł., referatowi plastyki i muzeów 367.657 zł., a z funduszu ogólnego na budowę Pawilonu Instytutowi Propagandy Sztuki 138.000 zł., ponieważ zaś budowa Pawilonu kosztowała 250.000 zł., na sumę 100.000 zł. wystawiłem z prof. Karolem Stryjeńskim weksle osobiście przez nas żyrowane.

Nieprawdą jest, jakoby „pieniądze przeznaczone dla artystów na podtrzymanie ich bytu i twórczości w okresie ciężkiego kryzysu, przeszły do kieszeni przedsiębiorców budowlanych i kawiarniarzy", natomiast prawdą jest, że przedsiębiorcy budowlani zarobili przy budowie 5% kosztorysu, to jest 12.500 zł., na kawiarnię założoną z funduszów dobrowolnych udziałów przyjaciół Instytutu i artystów ani jeden grosz z funduszów państwowych nie został wydany, natomiast w czasie mego urzędowania 243 artystów reprezentujących wszystkie działy sztuki otrzymało subwencje w wysokości 347.151 zł.

Nieprawdą jest, jakobym „doprowadził do niebywałych skandali na tle Filharmonji i Państwowego Konserwatorjum", natomiast prawdą jest, że na stosunki w Filharmonji, jako prywatnej spółce akcyjnej, żadnego wpływu mieć nie mogłem, a w Państwowem Konserwatorjum w czasie mojego urzędowania żaden skandal nie miał miejsca.

Nieprawdą jest, jakobym „sprawy zabytkowe traktował w najwyższym stopniu niechętnie, zgoła lekceważąc naukową inwentaryzację zabytków", natomiast prawdą jest, że na referat zabytków zostało wydane w czasie mego urzędowania 418.312 zł., z czego na naukową inwentaryzację wydano 106.800 zł., to znaczy, że referat zabytków był uprzywilejowany w stosunku do innych referatów.

Nieprawdą jest, jakoby „stan rzeczy wywołany mojem urzędowaniem przyczynił się w rezultacie do zamknięcia Opery w stolicy, do upadku teatrów kresowych, do ustąpienia najsławniejszych sił muzycznych z Konserwatorjum, do potwornego zeszpecenia Rynku krakowskiego, wreszcie do zlikwidowania samego p. Skoczylasa i całego Departamentu", natomiast prawdą jest, że zamknięcie Opery zdecydowała Rada Miasta Warszawy, nie pozostająca w żadnym stosunku zależności od departamentu sztuki, że teatry kresowe były subwencjonowane do końca mego urzędowania w miarę środków i otrzymały sumę 279.203 zł., że zarządziłem stałą wizytację tych teatrów przez fachowych referentów, że w czasie mego urzędowania ani jedna wybitna siła artystyczna z Konserwatorjum Warszawskiego nie ustąpiła, że nigdy nie aprobowałem wybudowania w Rynku krakowskim domu projektu prof. Szyszki-Bohusza, że departament sztuki został zlikwidowany w czasie reorganizowania Ministerstwa W. R. i O. P. wraz z dwoma innymi samodzielnymi dotąd departamentami nauki i szkolnictwa zawodowego i że p. Minister J. Jędrzejewicz proponował mi pozostanie na stanowisku naczelnika wydziału sztuki z dotychczasowemi poborami i rangą dyrektora departamentu.

Nieprawdą jest również, jakobym „za pieniądze państwowe zamiast lokalu służącego sztuce prowadził kawiarnię, a lokal wystawy zepchnął na szary koniec", natomiast prawdą jest, że nie zajmuję się zupełnie prowadzeniem kawiarni, że na kawiarnię zajęta jest przestrzeń 180 m², na lokal wystawowy 426 m.² i że w lokalu kawiarnianym odbywają się w dalszym ciągu zmienne wystawy sztuki.

Władysław Skoczylas

b. dyrektor departamentu sztuki w Ministerstwie W. R. i O. P.

Skoro p. prof. Skoczylas powołuje się na ustawę prasową, to i my pozwolimy sobie nadmienić, że p. Z. Z. Z., autor artykułu „Od ministerstwa do wydziału", nie mogąc na zasadzie ustawy prasowej dać odpowiedzi na wywody p. Skoczylasa w tym samym numerze „Świata", uczyni to w numerze najbliższym.



ŻÓŁTY KRZYŻ

W wydaniu książkowem ukazała się część pierwsza świetnej, wzruszającej powieści Andrzeja Struga p. t. „Żółty Krzyż". Czytelnicy „Świata" mieli możność poznania tego utworu, noszącego podtytuł „Tajemnica Renu". W dorobku beletrystycznym polskim a nawet ogólnoludzkim, wielka ta epopeja wojenna zajmuje miejsce wybitne; wizje Andrzeja Struga grozą i dociekliwością udręk, analizą dusz ludzkich, polotem i plastyką słowa współzawodniczą z najznakomitszemi dziełami twórczości powieściowej. Pisarz ten posiada przytem tereny obserwacyjne absolutnie własne. Kogoż z współczesnych beletrystów stać na opisy tak tragiczne, jak straszliwy obraz nocy jesiennej na podruzgotanych polach przysiółka St. Vaast? Kto umie pogrążyć się w duszach tak przedziwnych, jak kapitan Despaix, Eva Evard, Profesor Wager, Greta von Senden, gen. von Sittenfeld? Kto wreszcie ani przez chwilę nie straci z widoku czarodziejskich płomyków nadziei i wiary w genjusz ludzki, borykający się o lepsze jutro?

Wysoki polot moralny utworów Andrzeja Struga zawsze zresztą pociągał i budził mocne uczucia. Niedawno wydany tom jego opowieści wojennych p. t. „Klucz Otchłani" uznany został nawet przez przeciwników politycznych za arcydzieło prozy i sztuki pisarskiej!

„Żółty Krzyż" powstał z tego samego źródła zadumy nad doświadczeniami wielkiej wojny europejskiej. Rzuca przed oczy krwawego upiora ułudy i kłamstwa, broczącego ostatkiem sił, zmagającego się z własnym nierozsądkiem, ulegającego iluzjom psychozy. Czemże bowiem można wytłomaczyć sobie bohaterstwo i podłość, nieludzki wysiłek umysłów i wytrzymałość ciał, składanych na ołtarzu Molocha wojny? Andrzej Strug rozkłada w powieści swojej światła i cienie równomiernie. Wiara i zwątpienie, zawziętość i nieustępliwa dobroć zmagają się w tym boju gigantów z jednaką pasją. Gdy maluje środowisko francuskie, nie poddaje się łatwym sympatjom. Nie obniża swego lotu w stosunku do Niemców.

„Tajemnica Renu" jest dla niego artystycznie też zróżnicowana. Skala ujęć, uczuć, przeżyć faluje tętnem rzeczywistości. Obok prof. Wagera, znakomitego chemika, wynalazcy piekielnego, trującego gazu, „Żółtego Krzyża", stawia autor prof. Niemeyera. Są to dwa bieguny kultury germańskiej.

Prof. Wager ufa w swoją wynalazczość, zgubną dla ludzkości. Mówi bez obsłonek:

— „Moje nowe odkrycie pozwala wytruć całe armje, całe miasta, całe kraje i narody. W ciągu trzech miesięcy podejmuję się zakończyć wojnę zwycięstwem, jakiego nie znają dzieje!"

A przyjaciel jego prof. Niemeyer nie waha się powiedzieć:

— „Byłaby to zniewaga dla sprawiedliwości dziejowej, gdyby kulturę światową złamał jaskiniowy troglodyta z krzemienną pałą — Ludendorff. Nemezys dokona nad wami swej zemsty na pohańbienie ludzkości!"



ANDRZEJ STRUG

Prof. Wager i Niemeyer są ludźmi otwartych przyłbic. Andrzej Strug daje również bogatą galerję typów o psychice skomplikowanej, chorej, rozkładającej się. Jakże potwornie opanowanym, przebiegłym, ofiarnym jest kapitan Despaix, pragnący wykraść niemcom „tajemnicę Renu", chemiczny składnik morderczego gazu, Żółtego Krzyża"! Przedostał się on na tyły nieprzyjaciela, jako Ossian Helm pod cudzym, amerykańskim paszportem i potrafił z miłości dla ojczyzny zmylić czujność prof. Wagera. Jest to wywiadowca o kulturze duchowej niezwykłej! A owa śliczna gwiazda filmowa? Czego szuka odważna kobieta wśród niebezpieczeństw wywiadu? Eva Evard uprawia ryzykowną grę nie z patrjotyzmu, bo nie jest niemką, ani francuzką! Taniec jej i sława gwiazdy filmowej nie zmuszają jej do pobocznych zarobków. Jest zamożna. I miłość nie stanowi o jej czynach szalonych?

W galerji tej postać Grety von Senden jest już potępionym, tragicznym aniołem, nurzającym się w bagnie rozpusty, a wyzyskiwanym niemiłosiernie przez rację stanu. „Żółty Krzyż" posiada niespotykaną w beletrystyce gammę doznań ludzkich. Andrzej Strug pokazuje ją nie dla sensacji, lecz dla odzwierciedlenia wszystkich anomalji, jakie są konsekwencją wojny. Emocjonalność fabuły wypływa z obserwacji śmiałych i głębokich, niedostępnych niekiedy umysłowości innych beletrystów.

„Żółty Krzyż", opowiadający smętne koleje losu gwiazdy filmowej Evy Evard, jest przedewszystkiem wizją spustoszeń moralnych, jakie poczyniła wojna. Zmienia, rozwija, hartuje, upadla, doświadcza, dręczy, wyaniela dusze ludzkie, nawiedzone przez upiora wojny. Ileż tragizmu ma w sobie, wierzący w swój straszny wynalazek, prof. Wager, gdy wyciąga ręce do cienia poległego syna, Kurta i błaga:

— „Bądź mi lepszym synem choć po śmierci, nie nękaj starego ojca!"

W powieści tej fabuła nie odgrywa roli decydującej! Można nawet doszukać się jakowychś reminiscencji z życia słynnej tancerki Mata-Hari. Andrzej Strug w szeregu potężnych, upiornych wizji rozwinął taką grozę doznań ludzkich, iż właśnie te sceny są istotą, treścią, poezją jego dzieła.

„Żółty Krzyż" nie jest łatwą, wypoczynkową lekturą. Kto jednak wejdzie w nurt wydarzeń tej powieści — nie obroni się przed czarem męskiego, zwartego słowa Andrzeja Struga. Utwór ten w życiu naszem literackiem wzbudzi niewątpliwie kulturalne zainteresowanie tak zagadnieniem wojny, jak i sztuką pisarską.

Eustachy Czekalski

WALTER SCOTT I JEGO MIASTO

(Z powodu setnej rocznicy zgonu)

Burza na morzu i piękna kobieta wzniosły zamek, obok którego rozrosło się miasto rodzinne Walter Scotta.

Przeszło osiem wieków temu nawałnica zagnała do brzegów Szkocji okręt, którym uciekał z dwiema siostrami Edgar Atheling, prawy spadkobierca tronu angielskiego.

Królewscy zbiegowie schronili się w zamku Malkolma — szekspirowskiego Malkolma z „Makbeta", a ten, oczarowany jedną z sióstr, piękną Margaret, ożenił się z nią i, opuściwszy swój północny zamek, którego okolice zamieszkane były przez dzikich Celtów, przeniósł się na południe, do saskiego szczepu nad zatokę Firth of Forth. Tu na stromej skale zbudował nowy zamek, wokół którego powstał Edynburg.

Kilkanaście kroków poprzez brukowany dziedziniec zamkowy przenosi nas o pięćset lat później do apartamentów królowej Marji Stuart. Tu w maleńkich pokoikach młodziutka i wesoła pani słuchała muzyki, haftowała, czytywała łacińskich poetów, grywała w szachy, tańczyła ze swymi dworzanami i wyjeżdżała z sokołami na polowanie.

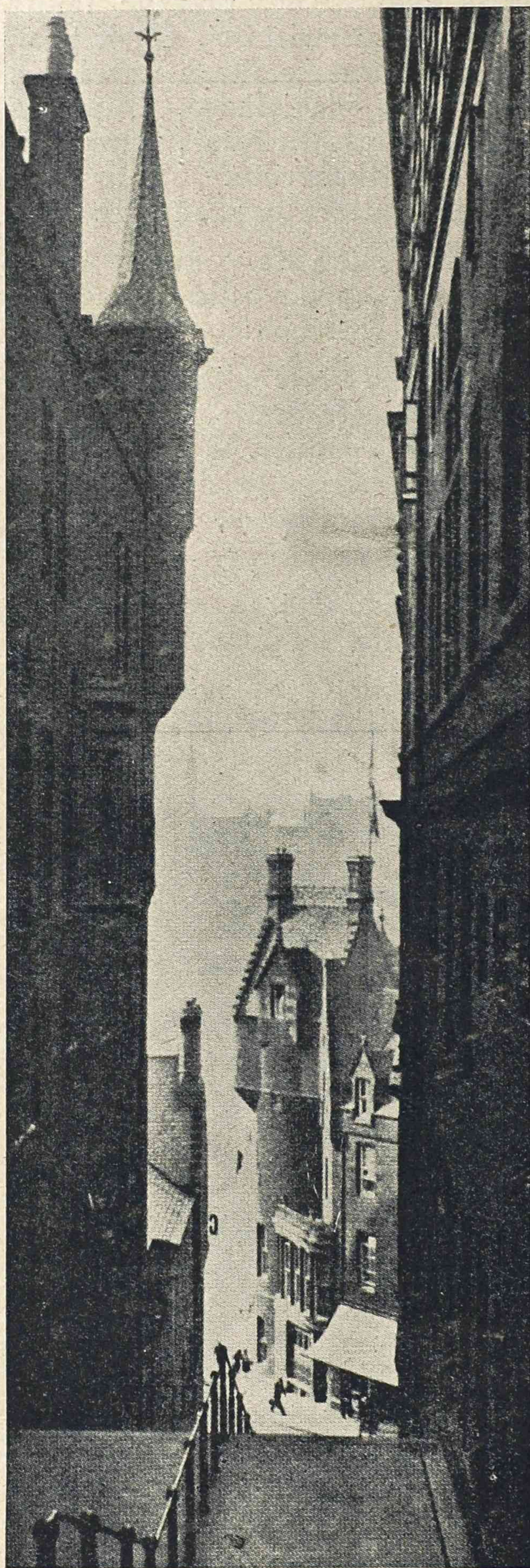
W pobliżu znajduje się ciemna komnata, w której spoczywa największy skarb Szkocji — insygnia królewskie. Przechodziły one różne koleje, zanim wróciły na zamek, a nawet i wówczas zostały przez anglików zamknięte w skrzyni, opatrzonej pieczęciami, a drzwi i okna izby zostały zakratowane i zamknięte na przeciąg przeszło stu lat z obawy, aby widok tych świętości narodowych nie pobudził Szkotów do powstania.

W 1817 r. Sir Walter Scott otrzymał pozwolenie na otwarcie skrzyni. W otoczeniu specjalnego komitetu wkroczył do komnaty. Tłumy zebrały się nazewnątrz, oczekując z niepokojem wiadomości. Sądzono ogólnie, że regalia zginęły. Tymczasem kiedy otarto pył i pajęczyny stulecia i uchylono wieko, ukazały się oczom zebranych: stara korona, srebrne berło, perłami wysadzane i inne klejnoty koronne, nienaruszone. Tłum wydał okrzyk radosny.

Jakiś wesoły mieszczanin chwycił koronę i chciał ją włożyć na głowę młodej dziewczyny.

— Niechże Bóg broni! — zakrzyknął oburzony Scott. Zarumieniony po czubki uszu nietaktowny młodzieniec dopiero wtedy zrozumiał, że omal nie dopuścił się profanacji. Scott do głębi poruszony wypadkiem, wracając do domu, milczał całą drogę, a córka jego czuła, jak drżała mu ręka.

Obok cichej kaplicy św. Małgorzaty stoi starożytna armata „Mons Meg" (Magda z Mons). Jest to jedno z najstarszych zachowanych w Europie dział. Osnuły je legendy. Oto gdy wojska króla Jakóba II (szkockiego) nie mogły zdobyć twierdzy nieprzyjaznego klanu Douglasów, stary kowal Kim, wraz ze swymi siedmiu synami, również kowalami, ofiarował się odlać armatę, która zburzy mury forteczne. Istotnie dwie kule z potężnej „Meg" uczyniły tak wielki wyłom w murach, że Douglas musiał się poddać. Olbrzymia armata otrzymała imię Magdy, żony kowala.



STARA ULICZKA EDYNBURGA

„Rycząca Meg" wypluwała potem granitowe pociski w wielu wojnach, strzegła twierdz, tęskniła za ojczyzną, więziona w Londynie, aż wreszcie wróciła w pełni chwały, ciągnięta ulicami Edynburga przez dziesięć koni, eskortowana przez kawalerję, a to dzięki temu, że Walter Scott namówił króla Jerzego IV, aby ją zwrócił zamkowi edynburskiemu.

Wzdłuż grzbietów wzgórza wije się od góry zamkowej ku pałacowi Holywood, drugiej królewskiej rezydencji, historyczna Royal Mile. Ona to, wraz z rozgałęziającemi się wąskiemi uliczkami i zaułkami, nieraz podnoszącemi się stromo, to przekształcającemi się w schody, tworzyła pierwotnie stolicę Szkocji.

W domach wysokich na kilka pięter gnieździły się nietylko ubogie, ale też zamożne, a nawet arystokratyczne rodziny. Po ciemnych, kręconych schodach wspinały się damy w krynolinach, sprzedawcy ryb lub warzyw, zamaskowane piękności i służba z wiadrami wody.

O dziesiątej pustoszały nagle przepełnione zazwyczaj winiarnie, w których adwokaci konferowali ze swymi klijentami i nawet lekarze przyjmowali pacjentów. Wszyscy biegli do domu. Po ulicach rozbrzmiewał okrzyk: „Gardy-lu, gardy-lu" (strzeżcie się wody); z setek okien wylewano na ulicę pomyje i nieczystości. Biada obywatelowi, który nie zdążył dopaść schronienia.

Z czasem miastu przybywają targowiska i przedmieścia, a mimo to ciągle jest ciasno w obrębie murów. Za murami mieszkać nie wypada; byłoby to uchybieniem godności obywatela, więc i pan Scott, prawnik i pełnomocnik, z żoną i dziećmi dusi się w mieszkanku trzeciego piętra domu przy College Wynd. Z ośmiorga dzieci tu urodzonych sześcioro umiera, ale 15 sierpnia 1771 r. rodzi się nowe — dziewiąte. Z obawą patrzą rodzice na małego Waltera, czy i on nie powiększy grona aniołków. Teraz dopiero przychodzi im na myśl, że niemowlętom nie służy duszne, zakażone powietrze ciasnej ulicy. To też rodzice decydują się przenieść poza obręb najstarszej dzielnicy — na George Square.

Tu spędza Walter Scott całą młodość, poza okresami wakacji, podczas których włóczy się z kolegami, spisując stare ballady i legendy, lub przebywa na wsi u babki.

Pewnego niedzielnego ranka, wychodząc ze starego kościoła Franciszkanów, podczas wiosennej ulewy, Scott ofiarował swój parasol młodej panience. Wraz z parasolem oddał jej i serce. Kilka lat trwała ta pierwsza miłość Scotta; arystokratyczni rodzice panny pozwalali bywać ubogiemu praktykantowi adwokackiemu, póki... nie wydali córki za bankiera.

Był to pierwszy cios, jaki spotkał wesołego, powszechnie lubianego młodzieńca. Zniósł go ze stoicyzmem, będącym jedną z charakterystycznych jego cech. Dwa lata później ożenił się z panną Charlotte

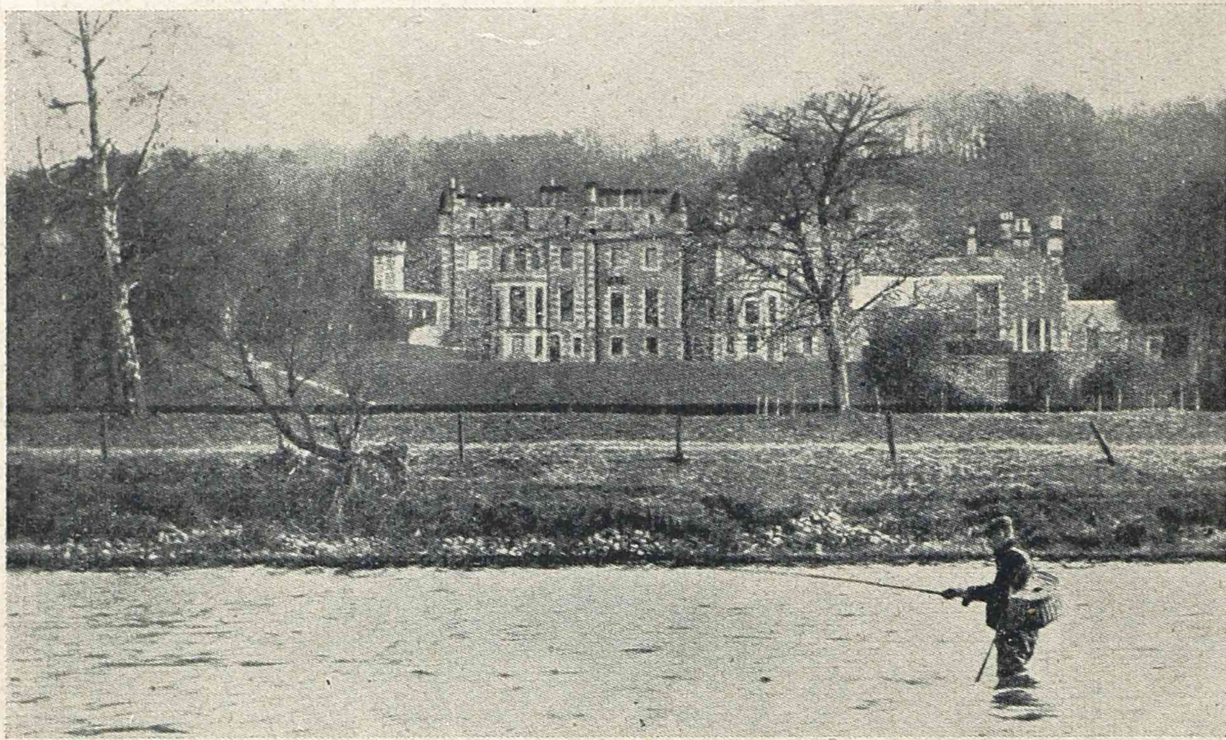
OGÓLNY WIDOK EDYNBURGA ZE STAROŻYTNYM ZAMKIEM NA GÓRZE, STANOWIĄCYM SANCTUARIUM SZKOTÓW



GŁÓWNA BRAMA WJAZDOWA DO ZAMKU EDYNBURSKIEGO,



KRÓLEWSKI ZAMEK W EDYNBURGU, OSNUTY LEGENDAMI



WIEJSKA SIEDZIBA WALTER SCOTTA W ABBOTSFORDZIE

Charpentier, francuzką, której rodzina schroniła się przed rewolucją do Anglji.

Młoda para zamieszkała w nowej dzielnicy, na Castle street. Coroczne długie wakacje adwokackie spędzano w wydzierżawionym skromnym domku na wsi. Po wydaniu ballad w r. 1805, Scott występuje poraz pierwszy jako wielki poeta romantyczny i przez dziesięć lat co rok wysyła w świat nowy poemat, wywołując bezgraniczny entuzjazm wśród czytelników i krytyków. Staje się ulubieńcem towarzystwa edynburskiego, sam będąc zawsze gościnnym i serdecznym gospodarzem.

W 1814 r. kupuje śliczną posiadłość nad rzeką Tweed, nazwaną przez siebie Abbotsford od pobliskiego Brodu Opata i tu spędza koniec tygodnia, oraz każde wakacje. Odtąd największą rozkoszą poety staje się budowanie skromnego domku, który rozrasta się stopniowo do rozmiarów wielkiej rezydencji, otoczonej pięknym, przez samego Scotta zakładanym ogrodem.

Wschodząca gwiazda Byrona zaćmiewa sławę poetycką Scotta. Zdając sobie sprawę z upadku popularności, przerzuca się on do beletrystyki i w przeciągu siedemnastu lat wydaje olbrzymią kolekcję przeszło trzydziestu powieści historycznych, znanych pod nazwą „Waverley Novels".

Mimo ogromnych dochodów, utrzymanie coraz wspanialszego Abbotsfordu, zamieniającego się powoli w przepiękne muzeum średniowiecza, oraz wystawne życie towarzyskie pochłania wszystkie jego zarobki.

Scott pracuje wytężenie i, nie przyznając się nikomu, coraz bardziej wikła się w interesy firmy drukarsko-wydawniczej braci Ballautynów, dawnych swoich kolegów, ludzi uczciwych, lecz nieopatrznych. Fatalny kryzys 1825/6 r. rujnuje firmę Ballautynów a z nią i Scotta. Wysokie poczucie honoru nie dozwala mu korzystać z praw o bankructwach, prosił tylko wierzycieli o odroczenie i bierze się do spłacenia olbrzymiego długu 120.000 f. szt. nieustanną pracą literacką.

Są to może najpiękniejsze choć smutne karty z życia Walter Scotta, gdy człowiek ten, tak kochający piękno wsi i przepych swej rezydencji, rzuca wszystko i, zamknąwszy się w skromnem mieszkaniu na Castle Street, pisze, pisze, pisze... Lecz i stąd musi się wkrótce usunąć.

15 marca 1826 r. Scott zanotował w swym dzienniku: „Dziś opuszczam Nr. 39 Castle Street... Pozostawiam dom na sprzedaż i przestaję być edynburskim obywatelem, jakim był od lat sześćdziesięciu mój ojciec i jakim ja byłem. A więc żegnaj, biedny 39 numerze!"

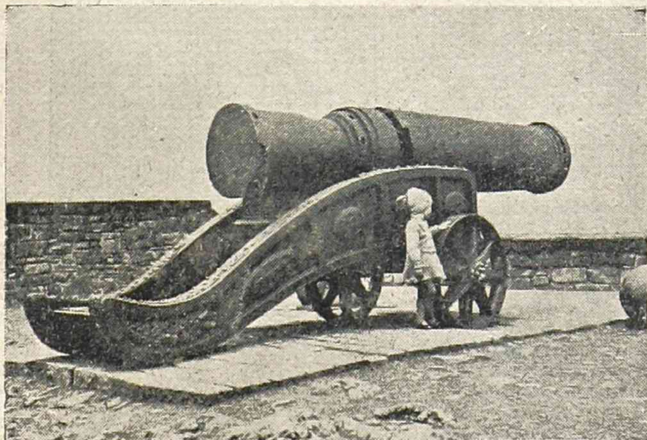
Smutny był powrót do Abbotsfordu. Wielkie salony zamknięte, żona, najmłodsza córka i para wiernych sług zamiast tłumnych dawniej domowników i gości. Dla całkowitego pognębienia następuje jeszcze śmierć żony.

Mimo wszystko Walter Scott pracuje i tworzy. Powieść napisana pod tylu ciosami rozeszła się w ciągu 3 miesięcy; autor mógł wręczyć wierzycielom 8000 f. szt.

Tak mijały lata. Zawsze pogodny, kochający ojciec i dziadek, zaczął podupadać na zdrowiu; siedzące życie — zwiększało skłonność do apopleksji. Po ataku paralitycznym mógł już tylko dyktować, i często nie był w stanie dokończyć zaczętego zdania.

Wysłany na południe, po kilku miesiącach spiesznie powrócił, przeczuwając blizki koniec. Zamknął oczy na zawsze w Abbotsford 21 września 1832 roku.

W. Peszkowa



STARA ARMATA, ZWANA MAGDĄ

U PROGU SAHARY

I. BISKRA

Zaraz za Konstantyną pogoda zaczyna się psuć. Pioruny, błyskawice. — Wiatr z ulewą. Woda oknami przecieka do przedziału. „Nogi na ławkę" — komenderuje konduktor. Pociąg ucieka. Za nami zostają pola pełne jakiegoś zboża.

— To nie zboże, to Alfa. Z tej wysuszonej trawy wyrabiają papier — objaśnia Arab, jedyny towarzysz w moim przedziale. Ale ja się go nie boję. Arab chytry: pewnie mnie nie porwie.

Mijamy jeziora, pokryte białą taflą — to sól. Mijamy łąki pokryte szronem — to sól. Leżą stosy worków pobielanych — to znów sól, przygotowana na wywóz.

Krajobraz się zmienia. Zostawiamy za sobą palmy, laski drzew oliwnych, jeziora i wjeżdżamy w kraj martwy. Wszystko szare i ponure, a deszcz leje i leje! Brrr! — jak zimno! I pocóż było tu przyjeżdżać, gdy to samo ma się w Polsce?

Godzina 16-ta. „Baaatna!" — wywołuje konduktor.

— Dłuższy przystanek. Bufet wyborny! —oznajmia Arab z mego przedziału.

Wysiadamy. Nagła zmiana temperatury. Deszcz ustał. Chmury się rozpłynęły. Słonko zajaśniało w pełnym blasku. Robi się ciepło, za chwilę gorąco, wprost upał i wjeżdżamy w kraj przedpustynny.

A hen, wysoko nad szczytami gór płynie majestatycznie orzeł, doliną kroczą stada dromaderów, powoli zapada zmierzch — zwiastun nocy.

Zdrzemnęłam się w wagonie, gdy nagły krzyk postawił mnie na nogi.

— Biskra! Biskraaa! — wywołuje radośnie konduktor. Z ciemności wyłania się biały budynek kolejowy. Wysiadam. Przepiękna gwiaździsta noc afrykańska!

Natrętni tragarze arabscy wyrywają choćby najmniejszy bagaż. Nie wypuszczam z rąk walizki i rozglądam się bezradnie. Zwolna

oko przyzwyczaja się do ciemności i otoczenia. Spostrzegam omnibus hotelowy z napisem „Hotel du Sahara". Zajmuję odważnie w nim miejsce. Koniki parskają wesoło, widocznie z uciechy, że wiozą tak dostojnego gościa z Warszawy.

Jednopiętrowy pałacyk w stylu maurytańskim. Przed nim wysadza mnie tajemniczy Arab. Zachowuje się biernie. Chytry Arab i po nocy dobrze się orjentuje.

Gospodarz-francuz wskazuje mi pokój. Kawę podano w mig, popijam ją ze znawstwem smakosza i po chwili chronię się pod białemi skrzydłami tiulu. Drwię sobie z moskitów i innych plag południa. Zasypiam błogo.

* * *

Jakże przecudnie mi się dzień obudził! Promienie słońca i białe domki zlewają się w jeden piękny rytm. Wkładam ciemne okulary i wychodzę na ulicę.

Nagle — jakby z ziemi wyrośli!! Czyżby teraz, w jasny dzień, chcieli mnie porwać? Otoczyli mnie zwartem kołem młodzi i starzy krajowcy. Krzyczą i kłócą się z sobą, a każdy chce widocznie dobrać się do mej skóry.

Niedobrze! Jak tu wydostać się z tej żywej, namiętnej obręczy?

Nagle objawienie! Przecież mam z sobą czarną, okutą laskę ze Szczawnicy.

Prostuję się tedy odważnie, na twarzy srogi mars, na ustach uśmiech ironiczny i zaczynam manipulować swą bronią. Złowrogo wypatruję, którego z nich zdzielić.



„HOTEL DU SAHARA" W BISKRZE



RUCHLIWA ULICA ARABSKA W BISKRZE

Skutek nadzwyczajny. Zaczynają się w przerażeniu cofać, nie spuszczając oka z mej laski, od której lada chwila spotka ich coś strasznego.

Manewr udał się. Z westchnieniem ulgi zmykam czemprędzej. Za chwilę jeden z odważniejszych dogania mnie, przykłada rękę do czoła i piersi, uśmiecha się i zerkając ku lasce, zaczyna coś mówić. Mówi i mówi, a ja nic nie rozumiem. Nareszcie zaczynam domyślać się. To nie żadne zbóje arabskie; to zwyczajni przewodnicy, wydzierają sobie etranżera, aby go — oskubać. Jeden chce oprowadzać, drugi ciągnie do sonku (sklep) i zapewnia, że nie potrzeba kupować, broń Boże, wystarczy tylko obejrzeć, trzeci chce pokazać jakąś osobliwość miasta. Czwarty z tajemniczą miną wskazuje kawiarnie i szeptem dodaje:

— Madame! aujourd'hui après souper nous avons une grande attraction. — Taniec i śpiew nadobnych kabylanek i inne misterja...

Dziękuję i idę dalej. Po chwili... o miły Boże! Przecież ta cała procesja wlecze się za mną! Trudno. Idą, to niech idą. Godzę się z losem i zaczynam się bacznie rozglądać.

Na ziemi przed kawiarenką, na dywanie perskim siedzi arystokracja Biskry — Arabowie. Grają w domino, popijają mokkę, w zębach trzymają nargile, palą i... plują. Typy jakby z bronzu ulane, oczy czarne, jak otchłań — okrutne i piękne. Staję, przypatrujemy się sobie. Jeden z nich wyniosłym gestem ręki zaprasza mnie do towarzystwa. Dziękuję i odchodzę. Pokazują mi białe zęby.

Dalej stado dromaderów rozłożyło się na rynku. Kręcą małemi główkami, coś żują i patrzą mądremi oczkami w daleki świat. Obok gromada nomadów z namiotami, końmi, osłami, żonami i dziećmi, z całym swoim dobytkiem.

Zatrzymuję się przed szkołą. Właśnie odbywa się nauka. W klasach zbyt duszno, więc wielkie podwórze zastępuje aulę wykładową. Radość ogarnia widza, słyszącego, jak po każdej odpowiedzi ucznia wybucha kaskada śmiechu. Śmieje się nauczyciel, śmieją się dzieci i właśnie ta wzajemna swoboda potęguje uczucia zaufania i przyjaźni.

* * *



KOBIETY ARABSKIE ZAŁATWIAJĄ SPRAWUNKI



CHARAKTERYSTYCZNA SCENA ULICZNA: TYPY JAKBY Z BRONZU ULANE

Stara Biskra zamieszkała wyłącznie przez murzynów-biedotę. Życie prymitywne. W przyziemnych lepiankach z gliny otwór zastępuje drzwi. Ciemne wnętrza bez okien i kominów. Zadymione, brudne i cuchnące. Przed chatami chmara dzieci. Wywracają koziołki, biją się o znaleziony guzik i tarzają w piasku. Na roześmianych twarzyczkach roje much bezkarnie harcują, a gdy probuję odpędzić muchy — murzyniątka uciekają w bezładzie.

Słońce zieje żarem. Temperatura 50° C. W dali wyłania się biały pałacyk, rzucony jak zabawka na tło zielonego dywanu. Jestto park hr. Laudona. Zdążam ku niemu, obiecując sobie zaznanie tam rozkoszy cieniu i chłodu. Pełno w nim palm i kwiatów, dróg i drożynek. Łatwo zbłądzić, więc znaczę drogę kwiatami. Jestem prawie sama w tym raju. Cała gawiedź została za bramą. Wstęp 2 franki. I tylko temu zawdzięczam niczem nie zmącony spokój.

(D. n.). *Amelja Bazylewska*

PIERWSZA PILOTKA-POLKA

o swych przeżyciach lotniczych

Od pierwszej lotniczki polskiej, p. Zofji Mikulskiej, zamieszkałej stale w Medjolanie, otrzymujemy garść wrażeń z podróży powietrznej do Polski, która skończyła się katastrofą.

Jestem oszołomiona i szczęśliwa. Lecę do Polski. Aeroklub Warszawski zaprosił mnie na mający się tam odbyć meeting międzynarodowy. Konferencje z milańskim Aeroklubem, próbowanie aparatu, załatwianie formalności, — wszystko to zajęło mi całe dwa dni. Teraz listy oficjalne w kieszeni, pozdrowień i zleceń prywatnych pełna głowa..

Jest wczesny, rzeźwy ranek, gdy zajeżdżam taxi przed lotnisko. — Wyprowadzają mój aparat. Za chwilę podrywam się do lotu. Łagodne kołysanie. Lecę nad słynnemi jeziorami włoskiemi. Jeszcze wczoraj, wypróbowując maszynę, podziwiałam ich przejrzysty szafir, migocący w srebrnem objęciu oliwkowych gajów. Dziś całą uwagę skupiam na kierowaniu samolotem. Na zieloną równinę Lombardji, a nawet na wyrastające po lewej stronie Alpy, patrzę tylko „fachowem" okiem pilota.

W południe spływam łagodnym ślizgiem na l.tnisko w Vicencji, a pod wieczór ląduję w Udine. — W miejscowem kasynie spotykam grupę lotników, którzy, dowiedziawszy się o celu mej podróży, załączają moc pozdrowień dla polskich kolegów. Pożegnalna kolacja trwa do późna w nocy, tak że ranek zastaje mnie na lotnisku zmęczoną i trochę śpiącą. Trzymają mnie tylko nerwy.

Biuletyn meteorologiczny niezbyt pomyślny. Tarvisio — chmury, Wiedeń — chmury; Graz, choć spokojnie, też chmury; niewiadomo wprost, gdzie się ruszyć. Koledzy odradzają mi usilnie dalszą drogę. Uparłam się jednak. Nie peszy mnie nawet jakiś defekt w motorze, który z trudem usuwamy.

Muszę być na czas w Warszawie. Za nic w świecie nie zmienię planów — mówię kategorycznie i, zakutana w wełny, jak wielka dziecinna kukła, siadam do samolotu.



AUTORKA NINIEJSZEJ OPOWIEŚCI

Przedostaję się przez pierwszą warstwę chmur. Są poszarpane, kłębiaste, poprzebijane od czasu do czasu głębokiemi studniami, przez które widzę ziemię. Lecę na wysokości 2000 mtr. wzdłuż linji kolejowej.

Podemną Alpy. Wspaniałe, dzikie, mroźne śnieżnemi wierzchołkami, mieniące się gamą posępnych barw.

Dolina Fella. Jestem ciągle na tej samej wysokości, między dwiema warstwami chmur. Nad Pontebbo pakuję się w miękką, obrzydliwie wilgotną watę. Wygrzebuję się szczęśliwie i natrafiam na wolną przestrzeń. Tarvisio. — Villaco. — Dolina rozszerza się, rozdwaja i zamyka zieloną ramą cudownie niebieskie jezioro Werther. Alpy przebyte!

Zataczam krąg nad Klagenfurt, szukając lotniska. Widzę je na krańcach miasta, lecę jednak dalej, pomimo nieustępującego zachmurzenia. Biorę kierunek na Wiedeń. — W okolicy Althoffen chmury stają się tak gęste, że decyduję się wrócić do Klagenfurt. Nadciągają nowe, brzemienne deszczem brudno-szare kłębowiska. Powietrze niemożliwie duszne.

O 10-ej znajduję się znowu nad Klagenfurt. Nisko ściele się gęsta nieprzenikniona mgła. Od północy zacina ostry, zimny deszcz. Aby przyzwyczaić się do zmiany ciśnienia, powoli zniżam lot. Na wysokości 50 mtr. mgła zaczyna się podnosić, owijać aeroplan lepkim uściskiem. W dole majaczy wilgotna czerwień dachów. Zamykam motor. Zataczam jeszcze parę kręgów i kieruję się w stronę, gdzie poprzednio widziałam lotnisko.

Opuszczam się jeszcze niżej. Kiedy znajduję się na wysokości 15 mtr., dostrzegam żółtą smugę, przebijającą się przez chmury. Reflektory. Wysokie słupy ich ostrego światła wskazują lotnisko. Tylko żadnych znaków, objaśniających kierunek lądowania.

Powiększam szybkość do 100 km. Od lotniska dzieli mnie zaledwie linja kolejowa i słupy telegraficzne... Oddycham z ulgą.

Nagle porywa mnie ostry wir powietrzny. Aparat przechyla się na lewy bok. Zaskoczona, ostatnim wysiłkiem staram się przywrócić mu równowagę. Na nic. Ciągnie go w dół nieubłagana siła. Ruchem ślizgowym opada na lewe skrzydło. Odruchowo zamykam kontakt. Samolot całym ciężarem wali się na ziemię. Najpierw lewe skrzydło, potem kadłub i motor.

Cisza. Motor milczy. Jestem zlekka ogłuszona. Z wysiłkiem podnoszę się, macam siebie, czy mnie nic nie boli; odpinam pas, przymocowujący mnie do siedzenia, wychodzę z aeroplanu. Oglądam z rozpaczą maszynę. Leży zmiażdżona, przybita do ziemi. — Tylko kilkanaście metrów dzieli mnie od lotniska. Tyle wysiłków i wszystko napróżno!

Nadbiegają ludzie. Mój wypadek wzbudził sensację. Zjawia się i policja.

— Dokończy pani lotu na innym aparacie — pocieszają mnie lotnicy.

Ja jednak wiem, że tym razem nie doprowadzę zadania do końca. Jestem lekko ranna, zmęczona i zniechęcona.

Na drugi dzień, po odebraniu papierów, idę pożegnać się z maszyną. Patrzę z żalem na jej martwe szczątki: pogrzebały tyle radości, tyle nadziei. Zostawiły mi tylko życie...

A wtem z milczącego już na zawsze samolotu dobiega mnie nieśmiały głos. To zegarek śpiewa nadal swą jednostajną piosenkę. — I mówi mi o czasie, który goi wszystkie rany, leczy zawody, uśmierza cierpienia i wiedzie ku spełnieniu marzeń.

Zofja Mikulska

Nowe powieści biograficzne

— Jakiem prawem poznawać ma publiczność szaleństwa Byrona, — wołał Tennyson. — Byron obdarzył ich pięknemi wierszami i to powinno im wystarczyć. Walt Whitman zaś mówił do swego przyjaciela:

— Kiedyś będziesz pisał o mnie, staraj się pisać uczciwie. Jakkolwiek to uczynisz, nie upiększaj mnie, mów o tem, jak klnę, mów o piekle i potępieniach mego życia. Spójrz na postacie naszych bohaterów narodowych, jakże są spaczone przez kłamców, przez ludzi, którym się zdaje, że mogą poprawić robotę Boga Wszechmocnego— kładą więc tylko jeden mały, zbyteczny akcent to tu, to tam, jeszcze tu i jeszcze tam, aż prawdziwy człowiek stanie się zupełnie niepodobny do siebie.

Te dwa zdania, te głosy dwóch różnych epok, dwa przeciwne stosunki do osoby i życia wielkiego człowieka, poglądy zwalczające się obecnie na terenie literatury i krytyki, tem goręcej, że biografja powieściowa stała się nowym i zwycięskim rodzajem literackim chwili. Po dostojnych panegirykach wielkich mężów, patetycznych kopjach Plutarcha i „bronzownictwie przeszłości", przyszedł okres poszukiwań oblicza niegdyś żywego człowieka, głód autentyczności, próby poetyckiej, trójwymiarowej rekonstrukcji, odkrywczy połów drobnych, codziennych myśli, zdarzeń, czynów, z których intuicja artystyczna buduje nową i plastyczną wizję. Tak po ludzku, z niewielkiego dystansu ujęta postać wielkiego artysty, uczonego, polityka, wodza wtargnęła do piśmiennictwa, zdobyła namiętne zainteresowanie czytelnika, spragnionego zarówno codziennej autentyczności i anegdoty, jak obcowania zażyłego z wielkością i siły sugestywnej sławnego imienia. „Vie romancée", — romans wielkich żywotów stał się modą literacką naszej epoki, tworzy całe bibljoteki, porywa najlepsze pióra pasją literackiej rekonstrukcji epoki i człowieka.

Jaka jest przyszłość tej trudnej sztuki, łączącej w sobie uczone kłamstwa historji, subtelne, powieściowe wyczucie prawdy i uniesienia poezji?

— Życie dobrze opisane — mówi Maurois, — jest o wiele rzadsze, niż życie dobrze przeżyte. Ale jakkolwiek trudny byłby ten rodzaj literacki, zasługuje on na to, by mu poświęcić nasze wysiłki i wzruszenia. Kult bohatera jest równie stary, jak ludzkość. Narzuca nam przykłady wzniosłe, lecz nie niedostępne, zadziwiające, lecz nie nieprawdopodobne, posiada podwójny charakter, który czyni zeń najbardziej przekonywującą formę sztuki i najbardziej ludzką z religji.

„BULA MATARI", żywot Stanleya — oto tytuł najnowszej książki *Wassermana.* Po dziejach „Don Kichota Oceanów" — Kolumba, odkrywcy Ameryki — dzieje odkrywcy afrykańskiego lądu, podróżnika i reportera, średniowiecznego kondotjera, zabłąkanego w wiek XIX. Dzieciństwo przebyte w poniżeniu i głodzie angielskiego przytułku z czasów wiktorjańskich, znanego nam dobrze z opisów Dickensa, tułaczka po dzikich puszczach Ameryki, wojna Unjonistów z Południowcami, zawód sprawozdawcy prasowego, pełniony z narażeniem życia w Abissynji, Grecji, Hiszpanji. Potem Nil, Jerozolima, Stambuł, Krym, Indje, a wreszcie początek własnej drogi, wyprawa na poszukiwanie Livingstone'a, odkrywcy źródeł Nilu, w samem sercu afrykańskiego lądu. Egzotyka i patos jest w tej rzeczowej, oszczędnej w efektach opowieści Wassermana o niezwykłym człowieku, który przewędrował dziewicze lasy, przepłynął katarakty rzeki Kongo, związał swe życie z losem tragicznego afrykańskiego świata, jego mieszkańców i zdobywców, wchłonął w siebie wszystkie uroki i trucizny Afryki, by wkońcu umrzeć jako starzec w rodzinnej Anglji.

Po wspaniałym życiorysie Kolumba, jest to druga powieść biograficzna Wassermana, przewyższająca o wiele wartością i poziomem jego utwory ściśle beletrystyczne.

GUY DE POURTALES, autor wnikliwych i pięknych książek o Nietschem i Chopinie, wydał obecnie vie romancée *Ryszarda Wagnera.* Twórczość muzyczna Wagnera, jego namiętności, miłość i przyjaźnie, rozległy krąg zagadnień, ludzi i spraw związanych z Wagnerem i Bayreuthem stanowią treść tej artystycznej biografji.

ANDRE MAUROIS, twórca poetyckich żywotów Shelleya i Disraelego, książek, które były przełomem w traktowaniu życiorysu we Francji, rozpoczął w nowem piśmie „Marianne" druk utworu p. t. *La vie de Voltaire.*

STEFAN ZWEIG, autor wielu powieści biograficznych, między innemi, ostatnio, wspaniałego życiorysu groźnego Fouché, wystąpił nanowo z rezultatem swych studjów nad tą samą epoką rewolucji francuskiej. Bohaterką jego nowej książki jest *Marja Antonina,* ostatnia królowa Francji.

H. M.

Nagrody literackie

Zanim Akademja szwedzka dokona wyboru laureatów tegorocznej nagrody Nobla, prasa licytuje się we wszystkich krajach o prawa swoich narodów i swoich pisarzy. W najbliższej przyszłości przekonamy się, czyje przepowiednie są słuszne, czy wielkie odznaczenie otrzyma Galsworthy, Dreiser, Gorki lub Mereżkowski, Paul Valery, czy wbrew oczekiwaniom taksamo, jak i przed rokiem, przedstawiciel mało znanej światu literatury skandynawskiej.

W poniedziałek, dnia 31 października, upłynął ostatni termin nadsyłania powieści, kandydujących do Prix Goncourt. Gorączkowa atmosfera oczekiwania i plotek zapanowała wśród młodszego pokolenia pisarzy francuskich. Prasa paryska jest pełna prognostyków i zapowiedzi. „Candide" robi reklamę morskiej powieści *Edwarda Peisson pt. Partie de Liverpool,* historji osnutej na tle tragicznego zatonięcia Tytanica. Socjalistyczny „Monde", podnosi nowoczesne i śmiałe wartości powieści *Céline'a* p. t. *Voyage au bout de la nuit",* dziejów ponurej i gorzkiej tułaczki bez jutra po polach bitew i przedmieściach wielkich miast.

ŚWIAT TEATRU

Jubileusz Gerhardta Hauptmanna

Znakomity dramaturg niemiecki, autor grywanych i u nas dzieł: „Tkacze", „Hanusia", „Święto pokoju", „Woźnica Hentschel", „Dzwon zatopiony", „Kolega



GERHARDT HAUPTMANN

Crampton" i wielu innych, ukończył w tych dniach lat 70. Z tego powodu we wszystkich miastach niemieckich odbyły się uroczyste przedstawienia różnych sztuk Hauptmanna, głównie zaś ostatniego jego dramatu p. t. „Przed zachodem słońca". W Berlinie grał go Teatr Reinhardta z Wernerem Kraussem, w Wiedniu „Volkstheater" z Emilem Janningsem. Poza tem sztukę grano jednocześnie w 96 teatrach niemieckich. Obecnie planowana jest wycieczka zespołu teatru wiedeńskiego wraz z Janningsem do Paryża, gdzie „Przed zachodem" — w języku niemieckim oczywiście—ma być grane w Teatrze Pitojewa. Jednocześnie grono pisarzy francuskich organizuje na cześć pisarza niemieckiego w jednej z największych sal Paryża uroczysty bankiet i w tym celu udał się z zaproszeniem do Hauptmanna znany powieściopisarz francuski, Henryk Lichtenberger.

W związku z temi uroczystościami austrjacka filja „Welttheaterbundu" (Związek Teatru Światowego) powołała do życia specjalną sekcję na prawach stowarzyszenia p. n. „Gerhardt Hauptmann-Gesellschaft" celem propagowania dzieł dramatycznych tego — jak go nazwano — *reprezentacyjnego dramaturga epoki* zarówno w Niemczech i Austrji, jak i na scenach zagranicznych.

Teatry Miejskie w Warszawie

Wieczory wypełniają w dalszym ciągu: w Teatrze Narodowym — „Iwan Groźny", w Nowym — „Mademoiselle", w Letnim — „Hulla ben Bulla". To ostatnie widowisko, dzięki świetnej grze Fertnera, Kurnakowicza, Grabowskiego, Leszczyńskiego, Dominiaka, Marcinowskiej i innych artystów, wywołuje nieustanne salwy śmiechu i coraz większem cieszy się powodzeniem.

W ciągu dnia na wszystkich scenach gore gorączkowa praca. W Narodowym — Solski kieruje próbami z „Wesela". Obsada — największych tuzów, jakiemi szczyci się sztuka teatralna w Polsce. W Letnim — Chaberski prowadzi próby z nowej komedji Jana Adolfa Hertza „Podróż poślubna pana dyrektora". Wreszcie w Nowym — Borowski rozpoczął próby z „Egipskiej pszenicy" Marji Pawlikowskiej. Same polskie sztuki na wokandzie!

Kapitan Jaracz

Stara bajeczka o szewcu z Kepenicka w Nowem Ateneum.

Das ist schon was... Odrazu widzi się to w autobusie. Wóz linji B idzie przepełniony do samego Wybrzeża. Przy kasie długi ogonek. Marymont (człowiek, nie dzielnica) w oblężeniu.

Hauptmann *(von Koepenick)*. Schiller *(Leon)*. Literatura faktu. To już jest coś... To nie wymyślone, obojętne czarne ghetto; to prawdziwa, czerwona historja z życia... sąsiada. A historja lubi się powtarzać. A sąsiad sąsiada — — —

Stop. Ateneum to przecież—teatr. Więc przedewszystkiem obchodzi nas nie sąsiad, lecz — kapitan Stefan Jaracz! „Człowiek z mundurem" nie z pod berlińskiego Kepenika, ale z rodzimego warszawskiego wybrzeża. Rodzimy szewc; kryminalista; samochwał! Voigt Jaracza, to więcej niż kreacja aktorska. Więcej niż przeżycie. To prawie ostrzeżenie...

Oddajmy co cukmajerowskiego Zuckmayerowi: scena końcowa z lustrem to chwyt autorski — godny Hohola.

Reżyser'a Schillera rada była więcej, niźli pozwalało bogactwo chaty atenejskiej. Knajpa, więzienie (osobliwie więzienie!) finał — majstersztyki klasy dużej sceny!

Wróć! Raz jeszcze sprezentować pióro przed kapitanem Jaraczem! W rozkazie wymienić: obiecującego rekruta Woszczerowicza, starszych żołnierzy: Maliszewskiego, Sielańskiego. I dzielnego cywila tłomacza: Jerzego Kossowskiego.

Spocznij! Prawie dwunasta...

E-l.

Przystań zbłąkanych

Z wycieczki na Żoliborz.

Droga z Warszawy do Żoliborza ma w sobie coś egzotycznego. Przedewszystkiem, jedzie się tramwajem — a to dla mieszkańca śródmieścia jest już atrakcją. Wozy, niby salonki turystyczne, obwieszone pięknemi widokami Rzplitej, wiozą przez nieznane dzielnice. Trzy razy zmienia się publiczność. Trzy razy odmienia się złoty w rękach konduktora, migają dziwaczne szyldy... Muranów... „Dworzec" gdański — potem już ciemność i trwoga... Jakieś mury tajemnicze, jakiś tunel, trochę w dół, trochę do góry, i jak z pod ziemi rzędy luksusowych więzień mieszkalnych i szerokie perspektywy nowiuteńkich *avenues*... Terminus! Jeszcze dwa nieopatrzne chlupnięcia w błoto, i przed nami szyld: „Poniedziałki, wtorki, środy — Przystań zbłąkanych". Chwała Bogu, jeszcze nie czwartek. Zdążyliśmy...

Teatr im. St. Żeromskiego. Sceny niema. Jest wielki salon. Jak w zamożnym mieszkaniu przedwojennem... Owiewają nas zamierzchłe wspomnienia. Tak samo lat parę dziesiątków temu biegło się wśród ciemności i trwogi na zakonspirowane czytanie lub zgoła „odgrywanie" Zapolskiej, Żuławskiego czy Wyspiańskiego... W salonie takie same judymowe twarze zbłąkanej inteligencji, kornie wyczekującej u przystani żywego słowa. Nic z rozgwaru środkowo-wielkomiejskiego. Zbożna cisza. *Joli bord* skupienia i napięcia. Czarująca publiczność!

W programie: M. Dąbrowolskiej „Przystań zbłąkanych".

Wielka artystka, do niedawna ozdoba pierwszych afiszów Polski,—dyrektor teatru, co po regjonalnych żoliborzach ojczyzny stracił więcej, niż posiadał, aktorki, niedawno jeszcze piękne i stołeczne... *Oh, la tristesse...*

Ściemniło się. Pianino zaczyna zcicha szopenić. Ktoś coś mówi, ktoś mu coś odpowiada, ktoś trzeci wchodzi, za nim ktoś czwarty, piąty... Szósty i siódmy prawią coś głośno, a od rzeczy (pono warjaci)... Ósmy z dziewiątą „rumbią" na brązowo... Jakiś korowód przystraja pocoś scenę... I tak się jewreini, szaniawszczy, ritnerzy — — —

Ci co dobyli, opowiadają, iż po półtorej godzinie zimna (na widowni) zaczęło się coś dziać *naprawdę*. Że błysnął nawet na chwilę ogień talentu dramatycznego autorki...

Być może. Ale — pani dyrektorko! — pani autorko! — tak już nie można! Tak — nie trzeba! My tu w stolicy mamy nową modę literacką: szczerości, jasności i — prawdy! *Prawdy życia!* Niech to będzie mniej koronkowe i „literackie", ale bardziej po męsku (choć przez kobietę pisane), po polsku, po *zapolsku* prawdziwe!

Wtedy do ofiarnej przystani waszej pracy teatralnej chętnie będziemy odbywali zbłąkane żoliborskie wycieczki.

E-l.

Otwarcie teatru „8 M. 30"

Otwarty ostatnio w lokalu przy ul. Mokotowskiej teatr pod nazwą „8 m. 30" zamierza iść po linji operetki kameralnej. — Zainaugurował swą działalność bardzo miłą i melodyjną operetką Stolza „Peppina" w adaptacji polskiej Juljana Krzewińskiego i Leopolda Brodzińskiego. Treść libretta jest nikła z obowiązkowym „happyendem" w 3-im akcie i dwiema tradycjonalnemi parami, ale spreparowana bardzo zręcznie. Muzyka naprawdę ładna — przebojowa.

Przedstawienie w reżyserji Witolda Zdzitowieckiego ujawniło robotę rzetelną i fachową.

Wybitnie interesującym był w roli Marji-Peppiny debiut młodej artystki p. Brochwiczówny. Wawrzkowicz, jako hrabia de Séraincourt, wyglądał szlachetnie, grał dyskretnie i śpiewał pięknie.

Świetnie pomyślana dekoracja Norblina, orkiestra pod batutą Millera i ewolucje taneczne, pomysłowo ułożone przez Lucy Rygier, dopełniają sympatycznej całości.

J. M.

Laureaci aktorscy

W związku z „nagrodą aktorską" urządziły „ABC" i „Wieczór Warszawski" ankietę wśród czytelników, w wyniku której okazało się, że najpopularniejszymi aktorami polskimi są: dyr. Ludwik Solski (największa ilość głosów), Stefan Jaracz, Juljusz Osterwa i Mieczysław Frenkiel; z aktorek: Marja Modzelewska, Marja Dulęba i Mieczysława Ćwiklińska. Jak wiadomo, jury przyznało nagrodę I—(puhar srebrny) — Ludwikowi Solskiemu za całokształt pracy aktorskiej oraz dwie równorzędne nagrody po zł. 1,000 za najlepsze kreacje w sztukach polskich Marji Dulębie i Stefanowi Jaraczowi. Oprócz wymienionych kandydatami do Puhara byli: Mieczysław Frenkiel i Irena Solska. Do nagrody za kreację: Ćwiklińska, Kamińska, Modzelewska, Malicka, Romanówna, Junosza, Węgrzyn, Osterwa, Leszczyński, Brydziński, Gawlikowski.

W kilku wierszach

Dwa jubileusze repertuarowe na scenach b. teatrów miejskich: w Teatrze Narodowym odegrano po raz 50-ty komedję Pagnol'a „Fanny" w przekł. B. Gorczyńskiego, w Teatrze Nowym — „Mademoiselle" Deval'a w przekł. J. A. Hertza.

Teatr Polski w Poznaniu wystawił w reżyserji Teofila Trzcińskiego „moralitet" angielski z XVI w. „Everyman" w przekładzie wierszem Jarosława Iwaszkiewicza p. t. „Ktobądź". Krytyka poznańska przyjęła utwór i jego wykonanie bardzo gorąco.

W Berlinie zamknięto w tych dniach z powodu braku frekwencji cztery teatry: Teatr „Komedja" (doniedawna należący do kompleksu teatrów Reinhardta), Teatr „Trybuna" (E. Roberta), „Kleines Theater" (na Unter den Linden) i jeden z najstarszych teatrów Berlina — „Wallner Theater".

— Pomimo powiększenia przez rząd francuski subwencji dla Komedji Francuskiej, t. z. Komitet „Domu Moljera" zdecydował w bieżącym sezonie nietylko nie nominować nowych „stowarzyszonych", lecz nadto wymówić kontrakty wszystkim nie-pensjonarzom. W związku z tem wydano rozporządzenie, aby role w nowych sztukach były obsadzane tylko przez stowarzyszonych, którzy również obejmą wszystkie role, grane dotychczas przez artystów kontraktowych, bądź kandydatów na stowarzyszonych. Zarządzenia te podyktowane są względami oszczędnościowo-kryzysowemi.

Popularny twórca „Manewrów jesiennych", „Czardaszki", „Bajadery" i wielu innych operetek, Emeryk Kalman ukończył w tych dniach 50-ty rok życia. Z powodu tej rocznicy pisma wiedeńskie podają, że według oficjalnej statystyki utwory Kalmana wypełniły dotychczas — nie licząc scen amerykańskich i rosyjskich — z górą 150,000 wieczorów. Zawrotne powodzenie!...



ALEKSANDER UNIŃSKI

Tydzień muzyczny

Piątkowym symfonicznym koncertem dyrygował po raz pierwszy p. Kazimierz Wiłkomirski. Prowadził starannie 4 fragmenty z baletu „Miłość" E. Morawskiego, kompozycję interesującą, zwłaszcza z punktu widzenia instrumentacji bogatej i pomysłowej, oraz I symfonję Strawińskiego, ciekawą przez to, że pokazuje pierwsze kroki — jakże nieśmiałe i niesamodzielne — późniejszego genjalnego reformatora.

Solistą był ulubieniec publiczności warszawskiej, adoptowane jej dziecko i pomazaniec, Aleksander Uniński.

Trudno o cieplejsze przyjęcie, niż to, z jakiem spotkał się tryumfator wiosennego konkursu. Nie zawiódł zresztą Uniński pokładanej w nim nadziei.

Grał piękny koncert C-dur Prokofiewa z rzadką finezją i precyzją. Żelazna rytmika pianisty znalazła wdzięczne pendant w rytmice utworu, będącej jego podstawą i urokiem największym. Trzy sonaty Scarlattiego były arcydziełem szczerskiego kunsztu. „Cordoba" Albeniza i „El Vito" Infantego pokazały nam Unińskiego w trzecim jeszcze rodzaju. Kokieterja śmiała, ale uprawniona. Artysta chciał i powinien był pokazać tej sali, co go pasowała na mistrza, że nietylko Chopina zagrać potrafi. Wywiązał się z tego zadania znakomicie. Po skończonym koncercie, gdy mu winszowano, wypowiedział radość swą i wdzięczność dla Warszawy. Bo też karjerę zrobił zawrotną. Nikomu nieznany do marca r. b., zabłysnął nagle jako gwiazda pierwszej wielkości na firmamencie muzycznym, objechał pół Europy, przyjmowany entuzjastycznie w czterdziestu z górą miastach, w tem Bruksella, Paryż, Berlin, Amsterdam, Geneva, Monte Carlo, Ryga, Helsingfors, Tallin, Kowno.

27-ego b. m. usłyszymy go raz jeszcze w Filharmonji, tym razem w Chopinie i Liszcie.

W Konserwatorjum interesujący koncert p. Olgi Iliwickiej, utalentowanej uczenicy prof. Żurawlewa, znanej nam z konkursu szopenowskiego i p. Bolesława Kona, który znać pracował usilnie od wiosny. Gra jego pogłębiła się i dojrzała. Dwanaście etiud Chopina — choć nie pochwalamy grania ich pod rząd — wypadło doskonale. Nastrój sali bardzo serdeczny.

Teatr Wielki dał premjerę klasycznej operetki Heubergera „Bal w Operze". Miła, subtelna muzyka pozostała świeżą, czego nie można powiedzieć o librecie, które cokolwiek myszką trąci. Wystawa staranna, tempo naogół dobre choć djalogi niektóre winny być szybsze; nie zawadziłoby kilka skrótów.

Wykonanie nosiło piętno zespołu operowego i wykazało wady jego zalet. Orkiestra pod kierunkiem p. J. Sillicha zanadto podkreślała swoją obecność, śpiewacy piękno swoich głosów i muzykalność.



LUCYNA SZCZEPAŃSKA

Tylko w Krzewińskim odezwała się stara rasa: był bez zarzutu.

Ładna i świeża aparycja p. Szczepańskiej w roli subretki o dźwięcznym, czyściutkim głosie, przyczyniła się również do ożywienia sceny.

W innych rolach — Dobosz, Olgina, Popławski i Orłowska.

Najefektowniej wypadły wstawki baletowe w układzie P. Zajlicha zwłaszcza zespół Nr. 5, walc Straussa i Nr. 3, walc Kreislera w wykonaniu Szmolcówny; natomiast dość mizernie — Nr. Nr. 1, 2 i 6 (kolory i kostjumy!...).

M. Kl.

KRONIKA MUZYCZNA

* Ukazała się popularna broszura prof. Stanisława Niewiadomskiego p. t. „Fryderyk Chopin, największy muzyk polski".

* Magistrat m. Łodzi, pragnąc przyczynić się do uczczenia pamięci Chopina, postanowił ofiarować z miejskich szkółek 1000 drzewek w celu założenia parku w Żelazowej Woli.

* Z okazji wystawienia w Operze budapeszteńskiej „Egipskiej Heleny" Ryszarda Straussa, przybył tam sędziwy mistrz. Oznajmił on, że ukończył już nową operę „Arabella" i że pracuje obecnie nad operą komiczną p. t. „Milcząca kobieta".

* Opera w Stuttgarcie wystawia w sezonie bieżącym, z okazji 50-lecia śmierci Wagnera, wszystkie jego opery, w porządku chronologicznym.

* Wytwórnia „Ufa" ukończyła nakręcanie dźwiękowca p. t. „Barkarola" z Kiepurą w roli gondoljera weneckiego. Film ukaże się niebawem w Berlinie.

Opera polska w Pradze Czeskiej



W „NARODNIM DIVADLE" WYSTAWIONO OPERĘ K. SZYMANOWSKIEGO „KRÓL ROGER" W REŻYSERJI ZNAKOMITEGO ŚPIEWAKA MUNCLINGERA. PODAJEMY ZDJĘCIE SCENY Z III-GO AKTU

Uroczystości jubileuszowe w m. Łodzi

60-ciolecie Towarzystwa Kredytowego Miejskiego i półwieku pracy w niem dyrektora L. Gajewicza

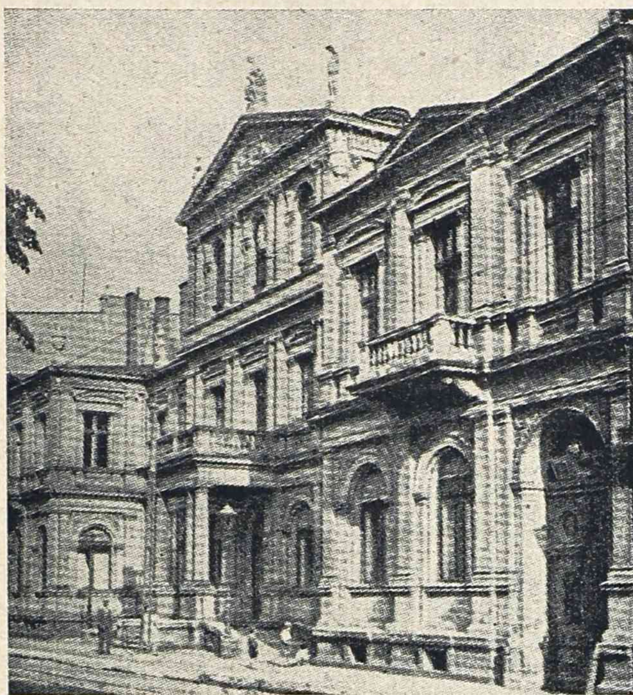
W początkach listopada r. b. Łódź obchodziła uroczyście podwójny jubileusz: 60-tą rocznicę istnienia Towarzystwa Kredytowego m. Łodzi i pięćdziesięciolecie nieprzerwanej pracy w niem p. dyrektora Leona Gajewicza.

P. Leon Gajewicz wstąpił w mury Towarzystwa Kredytowego 18 października 1882 r. w charakterze referenta prawnego. — Praca i zdolności szybko wysuwają go na stanowisko vice-dyrektora, a od r. 1904 — dyrektora Biura Towarzystwa.

Stojąc na czele tej instytucji, dyr. Gajewicz trzyma przez cały czas rękę na pulsie życia Łodzi. — Rozumiejąc potrzebę zcementowania niejednolitych żywiołów, jakie koncentrują się w nowopowstałem przemysłowem środowisku, zakłada tu ze Stefanem Kossutem i Henrykiem Elzenbergiem pierwsze pismo polskie — „Dziennik Łódzki", gdzie wyróżniają się jego feljetony, podpisywane pseudonimem: „Palestrant bez praktyki". Świetne pióro „Palestranta bez praktyki" daje się poznać również w szeregu artykułów w „Gazecie Sądowej". — W r. 1898 wydaje książkę, przetłomaczoną potem na język niemiecki, p. t. „Zasady postępowania w Towarzystwie Kredytowem". Z czasów Wielkiej wojny datują się monografja: „Czterdziestolecie Towarzystwa Kredytowego m. Łodzi" i „Własność nieruchoma miejska i Towarzystwa Kredytowe po wojnie".

Nie zaniedbując nigdy powierzonej sobie instytucji, p. Gajewicz interesuje się zagadnieniami prawnemi; jest przed wojną przewodniczącym Oddziału Łódzkiego Towarzystwa Prawniczego w Warszawie i, już w czasach niepodległościowych, Sędzią handlowym Sądu Okręgowego w Łodzi. — Nie uchyla się też od działalności społecznej, pracując ofiarnie w ciągu dziesięciu lat w Łódzkim Oddziale Czerwonego Krzyża, gdzie zajmuje stanowisko vice-prezesa, uzyskując najwyższe odznaczenie tej instytucji.

Talent organizacyjny p. Leona Gajewicza przejawia się nietylko w pracy społecznej. Towarzystwo Kredytowe zawdzięcza mu, obok doskonale funkcjonującego aparatu biurowego, projekt nowego statutu. Zawiera on wiele cennych inowacyj, ale, niestety, dotychczas nie został zatwierdzony. Paraliżuje to ogromnie prace Towarzystwa, którego ustrój opiera się nadal na starych formułach z przed lat sześćdziesięciu.



GMACH TOW. KREDYTOWEGO M. ŁODZI PRZY UL. POMORSKIEGO



LEON GAJEWICZ, DYREKTOR BIURA

Sześćdziesiąt lat! Przebiegnijmy myślą ten długi okres czasu, dzielący wolną Polskę od popowstaniowego ucisku, wielką Łódź — od małej fabrycznej osady, w najdrobniejszych szczegółach przemyślany mechanizm nowoczesnych Towarzystw Kredytowych—od genjalnej, lecz w zarodku spoczywającej, idei księcia Lubeckiego.

Towarzystwo Kredytowe w Łodzi powstało w dwa lata niespełna po utworzeniu takiego Towarzystwa w Warszawie. — Otwarcie tej pożytecznej placówki przyszło z niemałą trudnością. Rząd rosyjski patrzał bardzo niechętnie na rozwój polskiego przemysłu; na każdym kroku piętrzyły się trudności. Z drugiej zaś strony, społeczeństwo polskie zrozumiało, że siła jego spoczywa w szeroko rozbudowanych miastach, otoczonych lasem kominów.

Korzyści, jakie Warszawie przyniosło utworzenie Towarzystwa Kredytowego, zrozumiał i ocenił ś. p. Andrzej Rosicki, prezydent m. Łodzi. Uczestnik walk o niepodległość w 63-im roku, po straconych nadziejach uwolnienia ojczyzny pracować począł dla podniesienia jej dobrobytu, zabiegał lata całe o pozwolenie założenia towarzystwa, aż osiągnął swój cel.

Na pierwszych podaniach i aktach urzędowych Towarzystwa figurowali, jako założyciele: Karol Scheibler, Ludwik Traugot, Grohman, Józef Paszkiewicz, Jakób Peters, Ferdynand Szlim, Maksymiljan Leinveber, Henryk Schlosser, Karol Gehling, Herman Konsta, Marcin Łaski, Wilhelm Ginsberg i Rafał Sachs.

Gdy na skutek wezwania założycieli zgłosiło się 129-ciu, ubezpieczonych od ognia na 853.030 rb., właścicieli nieruchomości, — zwołane zostało pierwsze ogólne zebranie dn. 2 października 1872 r., na którem dokonano wyboru władz Towarzystwa.

W wyniku wyborów do Dyrekcji weszli: Karol Scheibler, Józef Paszkiewicz i Marcin Łaski, oraz Ferdynand Szlim, Izrael Poznański, Tomasz Sudra, Stanisław Reiman, Wilhelm Korn, Karol Strenge, Reinhold Finster i Józef Gampe, jako członkowie Komitetu Nadzorczego.

Wakujące stanowiska prezesów uzupełniły wybory w dn. 31 października tegoż roku, gdzie na prezesa Dyrekcji obrano Karola *Scheiblera* i na prezesa Komitetu Nadzorczego — Ferdynanda *Szlima*. — Marmurowe popiersia tych zasłużonych członków - założycieli zdobią do dziś salę ogólnych zebrań w gmachu Towarzystwa. — Na dyrektora Biur Dyrekcji i Komitetu Nadzorczego powołany został z obszernemi pełnomocnictwami inicjator i założyciel instytucji: ś. p. Andrzej Rosicki.

Przed faktycznem uruchomieniem Towarzystwa czekało Zespół Założycieli trudne zadanie utworzenia dlań nowych form. Wiadomo było odrazu, że nie można się oprzeć na gotowych już wzorach tejże instytucji w Warszawie. Łódź, — ośrodek naszego życia przemysłowego — wymagała czego innego. — Przedewszystkiem, określić należało normę szacowania fabryk i sposobu udzielania pożyczek na



EDMUND BOGDAŃSKI, PREZES KOMITETU NADZORCZEGO TOW. KREDYT. M. ŁODZI



JÓZEF POGONOWSKI, PREZES DYREKCJI TOW. KRED. M. ŁODZI



CZŁONKOWIE WŁADZ TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO M. ŁODZI

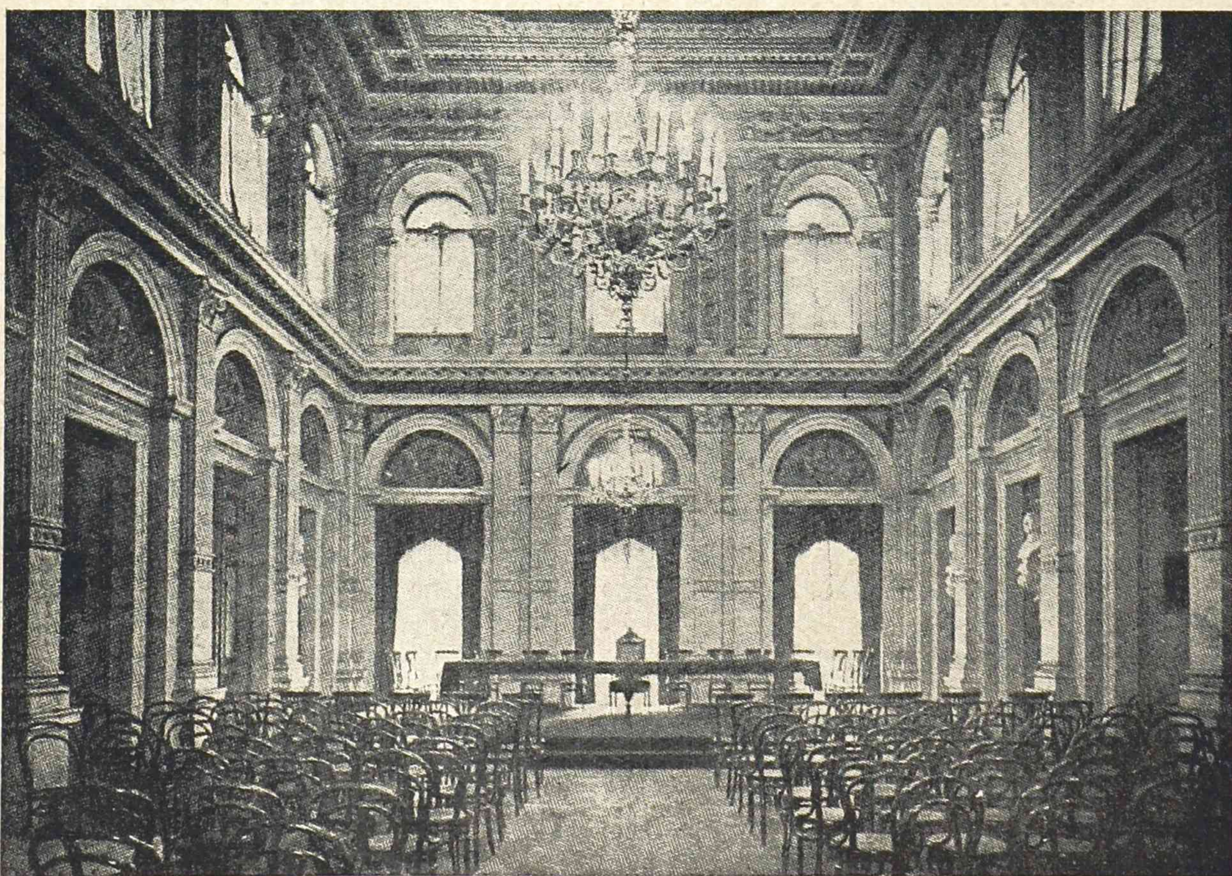
nieruchomości fabryczne. Również opracowano specjalne zasady zawierania kontraktów z instytucjami ubezpieczeniowemi od ognia.

Towarzystwo Kredytowe m. Łodzi było i jest instytucją całkowicie opartą na wzajemnem zaufaniu. Nie posiadało ono kapitału zakładowego, lub akcyjnego; nie skorzystano nawet z przewidzianego przez ustawę prawa zaciągnięcia na pierwsze potrzeby pożyczki w sumie 50.000 rb. Towarzystwo nie chciało rozpoczynać swej działalności od robienia długów. Ideą jego była—samowystarczalność. Na pokrycie niezbędnych wydatków administracyjnych pobierano jedynie małe opłaty. Można śmiało powiedzieć, że Towarzystwo Kredytowe m. Łodzi rozpoczęło swą owocną działalność, posiadając, zamiast kapitału — ustawę w ręku.

Wydaje się to nieprawdopodobnem. Jakto?! Towarzystwo o wielkiej maszynerji udziela pożyczek bez kapitału?

Założyciele, między którymi byli wybitni znawcy ekonomji, — ci sami, którzy stworzyli z małej osady — polski Manchester, rozwiązali tę sprawę niezwykle prosto. Oto pierwsze niezbędne wydatki administracyjne pokrywane były z kaucji, składanych przez zgłaszających się o pożyczki. Z kaucji tych składano rachunki po pewnym dopiero czasie, gdy pierwsze raty od przyznanych pożyczek zaczęły napływać. Trzeba tu dodać, że na uzgodnienie tych rachunków wpływało przedewszystkiem ofiarne i obywatelskie stanowisko członków Komitetu Nadzorczego i Dyrekcji, którzy lata całe, bo aż do 1927 r., pracowali bezinteresownie.

Ostrożność i bezwzględna uczciwość wytworzyły ogromny kapitał zaufania, który, przeliczony na pieniądze, wykazywał już po 10 latach istnienia Towarzystwa sumę 4.899.500 rb. zahipotekowanych pożyczek. On też pozwolił Towarzystwu na wyjście obronną ręką z zawieruchy wojennej i dał mu możność dziś, w centrum szalejącego kryzysu, kiedy padają trony „królów zapałek", — wykazywać 72 milj. zł. pożyczek niskoprocentowych.



SALA OGÓLNYCH ZEBRAŃ TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO M. ŁODZI

W sprawie nadużyć w handlu dziennikami i czasopismami

Wobec stwierdzenia licznych nadużyć w handlu dziennikami i czasopismami, Polski Związek Wydawców Dzienników i Czasopism podaje do wiadomości, że sprzedawcy nie mają prawa wypożyczania czytelnikom dzienników i czasopism, tak za opłatą, jak i bezpłatnie.

Takie wypożyczanie pism do czytania lub przejrzenia nietylko narusza umowę o sprzedaż komisową i dobre obyczaje kupieckie, lecz jest również nadużyciem, jakiego wobec wydawnictwa dopuszcza się sprzedawca, czyli przestępstwem, ściganem przez Kodeks Karny.

Ostrzegamy przeto wszystkich, których to dotyczy, że takie przestępcze działanie, tak ze strony sprzedawcy, jak i ze strony współwinnego czytelnika, pociągnie za sobą odpowiedzialność cywilną i karną.

Występować przeciwko winnym na drodze sądowej karnej i cywilnej będą zarówno wydawnictwa, jak i władze Związku Wydawców; nadto nazwiska winnych tych nadużyć będą publikowane na łamach prasy.

Rada i Zarząd Główny Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czasopism

W numerze niniejszym zamieściliśmy kilkanaście fotografji najwybitniejszych lotników polskich, którzy zginęli śmiercią bohaterów.

Wkrótce ukaże się w druku pamiątkowa księga „Ku czci poległych Lotników", wydana staraniem Komitetu budowy pomnika „Lotnik" dłuta E. Wittiga. Zawierać ona będzie życiorysy i fotografje wszystkich lotników polskich, którzy ponieśli śmierć na stanowisku.

ALESSANDRO VARALDO

NIEBEZPIECZNA PRZYGODA

(NOWELKA)

— Nie należy nigdy dać się ponosić fantazji! — Przestrogę tę wypowiedział głębokim basem jegomość o dużej czarnej brodzie i długim nosie, prawie zaglądającym do ust.

Wszyscy z zaciekawieniem spojrzeli w jego stronę. Łagodny wieczór — raczej zmierzch już otulał jezioro swemi skrzydłami, tylko na tle błękitnego nieba odcinały się złoto-rdzawą plamą kontury gór Bisbino i Monte-Olimpino. Poważny czarny jegomość, który przed chwilą przemówił, spojrzał zpodełba na audytorjum. Brwi zrośnięte nad nosem i oczy przenikliwie patrzące z poza okularów miały w sobie coś urocznego.

— Wygląda, jak małżonek „Ślepej z Sorrento" — szepnęła starsza dama, dobrze obeznana z literaturą 18-go wieku.

— Dla mnie wyobraźnia jest wszystkiem! — rzekła młoda panienka.

— Wszystkiem nie: początkiem wszystkiego, poprawiła starsza pani.

— Dlaczegóż to nie należy ufać wyobraźni?

— Na jakiej zasadzie pan wygłasza podobne zdanie? Prosimy o wyjaśnienie — odezwali się inni.

Małżonek „Ślepej z Sorrento", uśmiechając się, odrzekł:

— Twierdzenie swe opieram na pewnych danych i z największą chęcią służę wyjaśnieniem.

— Prosimy, prosimy!

— Nie jestem nieprzyjacielem fantazji — zaczął czarny jegomość, — nawet przeciwnie, byłem jej zbyt gorącym wielbicielem. Radzę jej jednak nie ufać, gdyż można się dotkliwie poparzyć. Ponieważ państwo życzycie sobie, opowiem, jaką rolę wyobraźnia odegrała w mojem życiu, które, jak zresztą u wszystkich, ma w sobie coś z tragikomedji. Przedstawcie sobie państwo, iż do tego stopnia żyłem tylko sobą i swojem życiem wewnętrznem, że uważałem rozrywki, książki i podróże za rzeczy zbędne. Wyobrażałem sobie wszystko, o czem zamarzyłem i rzucałem się naoślep w wyczarowany przez siebie świat. Spędziłem w ten sposób niezapomniane, rozkoszne chwile, które dawały mi pełnię zadowolenia. Leżąc naprzykład w wygodnym, bujającym fotelu, zapragnąłem nagle podróży, i na skrzydłach fantazji przenosiłem się do wymarzonego kraju. Gdy pożądałem miłości, wyobraźnia moja wyczarowywała przedemną najpiękniejszą kobietę świata. Z czasem przyzwyczajenie imaginowania rzeczy i ludzi piękniejszych i lepszych, niż ci, co mnie otaczali, tak się we mnie zakorzeniło, że stwarzało nieraz dla mnie samego jakieś nieprawdopodobne niespodzianki. Raz, naprzykład, w piękny letni dzień zapragnąłem zwiedzić Berlin. Nie miałem najmniejszego pojęcia o tem mieście, ze słyszenia znałem tylko ulicę „pod Lipami" i Szprewę. Otóż to, co w mojej wyobraźni ujrzałem, było tak żywe i prawdziwe, że gdy opowiadałem tegoż wieczoru w klubie o podziemnej kolei, którą jeździłem, o tamtejszej operetce z wysokim bladym dyrygentem orkiestry, o rosyjskim kabarecie i usługujących tam dziewczętach, specjalnie o pewnej blondynce z krótkiemi kręconemi włosami, o oczach niewiarogodnie jasnych i o brylancie w miejscu lewego siekacza, jeden ze słuchaczy wykrzyknął:

— Ksenia! Znam ją! Księżniczka Ksenia. Uciekła z Leonem Pawłowiczem, który jest szoferem w Paryżu.

Okazało się, że kobieta, którą stworzyła moja bujna wyobraźnia, istniała w rzeczywistości.

— On nas buja! — szepnąłem memu sąsiadowi, malarzowi Serra.

— Ba! Na świecie wszystko jest możliwe...

Czarny jegomość, pobudzony przez słuchaczy, ciągnął dalej:

— Podobne fakty często mi się przytrafiały. Kiedyś opisałem pewnemu słynnemu podróżnikowi, który przemierzył Azję od morza Kaspijskiego aż do Pekinu, małą świętą mieścinę w Tybecie z taką dokładnością, że był poprostu oszołomiony. Ponieważ nawet w swem sprawozdaniu, które przedstawił w Towarzystwie Geograficznem, nie mówił o różnych przytoczonych przezemnie szczegółach, powziął odrazu podejrzenie, że byłem tam przed nim, lub też przypuszczał, że poprzedniego wieczoru mówił zbyt wiele na ten temat przy kieliszku. Tymczasem, daję państwu słowo honoru, nic podobnego nie miało miejsca, jedynie wyobraźnia, droga towarzyszka mych samotnych godzin, podsunęła mi

obrazy z najdokładniejszą wiernością. Droga towarzyszka, tak... lecz bodajbym jej nie był zaufał. Niestety, nie zawsze ma się do czynienia z podróżnikami, którzy zadawalniają się metafizycznemi wyjaśnieniami. Na własnej skórze przekonałem się o tem.

Towarzystwo coraz bardziej zacieśniało się koło opowiadającego, jak gdyby z ust jego miast słów, sypały się perły. Malarz Serra wyjął z kieszeni notatnik i ołówek. Ja raptem szepnąłem do ucha słynnej artystce, znajdującej się w naszem gronie:

— Założę się, że opowie nam teraz o pani największej namiętności.

— Drogi panie, odcięła z miejsca — moją największą namiętnością są raki w maderze.

Czarny pan, przeszywając wzrokiem rozciekawione audytorjum, tak mówił dalej:

— Wszystko to, co państwu dotąd opowiadałem, jakkolwiek wydać się może nadzwyczajnem i zdumiewającem, jest jednak niczem w porównaniu z tem, co teraz opowiem. Proszę się wmyśleć w słowa Tertulliana „credo quia absurdum". Mogę zresztą zrezygnować z „credo", lecz obstaję przy „absurdum". Chcę opowiedzieć najniewiarogodniejszą przygodę, jaka mogła się człowiekowi przytrafić. Pewnego wieczoru znajdowałem się w klubie i tak, jak dziś, mówiłem o wyobraźni. Słuchacze moi składali się z przyjaciół, zwykłych znajomych i z zupełnie obcych ludzi. Nie należy nigdy mówić o swych przeżyciach przed nieznajomymi; zawsze jakieś niebezpieczeństwo czyha zza węgła. Opowiadałem zatem o swej ostatniej podróży na skrzydłach bogini Fantazji. Mówiłem o małem miasteczku Toskańskiem, którego na oczy nie widziałem, o jego placach, uliczkach porośniętych trawą, opowiadałem o wysokim murze, z poza którego wygląda stary cyprys, o zielonej furtce, tonącej w bluszczu i uwieńczonej figurą Matki Boskiej z niebieskiej i białej majoliki, o zwieszającym się sznurku od dzwonka z nieodzowną zajęczą łapką, gdy uczułem nad sobą dwoje oczu rozżarzonych, jak węgiel. Należały one do mężczyzny w średnim wieku, o budowie krępej, długich ramionach, jak u orangutanga, dłoniach żylastych i owłosionych, z palcami kwadratowemi, mogącemi z łatwością zgiąć miedzianą monetę.— Coś pierwotnego, coś z okresu neolitycznego było w tej postaci, przytem twarz, zwrócona w moją stronę, była do tego stopnia obrośnięta, że nawet powieki zdawały się owłosione. Pomyślałem sobie: oto nieborak, który dał się unieść skrzydłom wyobraźni i niebaczny mówiłem dalej:

— Lekko pociągnąłem za sznurek, który wprawił w ruch dzwonek podobny do tych, jakie noszą na szyi szwajcarskie krowy. Orangutang zadrżał, te jego rozżarzone węgle zapaliły się płomieniem. A ja nieświadomy ciągnąłem: Na ochrypły dźwięk dzwonka drzwi otworzyły się, a w nich ukazała się pięknie zbudowana kobieta, o czarnych włosach, złocistej cerze, purpurowych ustach z małem znamieniem w lewym kąciku ust. Uśmiechała się czarująco, ukazując przytem wspaniałe zęby i szepnęła niskim głosem:

— Chodź, mąż mój daleko.

— Ach! nikczemny, złapałem cię nareszcie.

Był to orangutang, a jego pięść potężna trzasnęła mnie w twarz: patrzcie.

Tu czarny jegomość wskazał na brakujące zęby i mówił dalej.

— Domyślacie się już państwo dalszego ciągu: proces, pojedynek itd. Historja, którą wysnułem w marzeniach fantazji: miasto, uliczka, furtka z dzwonkiem, kobieta ze znamieniem na policzku — wszystko to istniało w rzeczywistości i orangutang nie dał sobie nigdy wybić z głowy, że tym donżuanem, wdzierającym się do jego małżeńskiej alkowy, był nikt inny, tylko ja, uosobienie niewinności.

Westchnął. Skończył i jeszcze raz powtórzył:

— Nie ufajcie wyobraźni!

— To dowodzi, rzekł malarz Serra, jak mądrą jest filozofja grecka, która twierdzi, że słowo stwarza zjawisko.

A w dodatku szepnąłem mej sąsiadce — kto jest urzeczony, ten przynosi nieszczęście nawet samemu sobie.

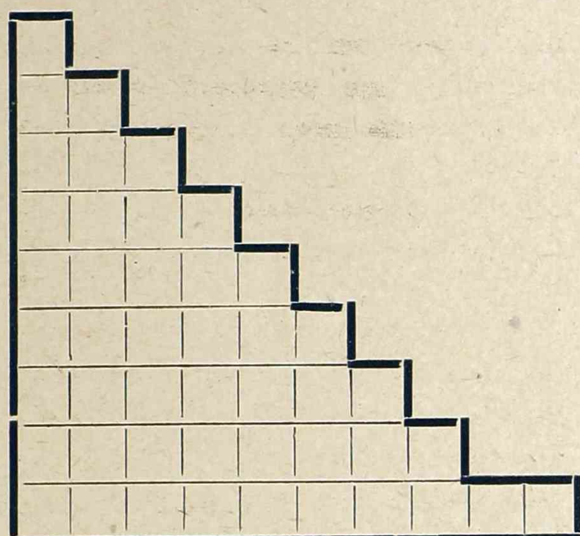
Tłumaczyła z włoskiego
Stefanja Peltynowa.

Ukazał się numer (96 — 97) listopadowy miesięcznika „Muzyka". Treść: *H. Dobrzycki:* Nasz dług wobec pamięci Szopena. — *K. H. Bader:* Powrót Szopena do kraju. — *E. Młynarski:* Pięcioro przykazań dla dyrygentów. — *Maurice Ravel:* W kuźni nowego stylu. — *K. Stromenger.* Igor Strawiński. — *L. Godowski:* O transkrypcjach fortepianowych. — *St. Niewiadomski:* Pamięci Tadeusza Joteyki.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 73 (176) Tajemnicze schodki

(Za rozwiązanie 3 punkty).



W rzędy pionowe wpisać słowa o następującem znaczeniu: 1) Spółgłoska. 2) Zamek. 3) Rzeka w Europie. 4) Dramat Ibsena. 5) Ptak domowy. 6) Miasto w Polsce. 7) Inaczej transport. 8) Zwierzę trawożerne. 9) Poeta polski.

Litery pionowe pierwszego rzędu i poziome ostatniego dadzą imię i nazwisko wielkiego poety polskiego.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ z № 37-ego, 38-ego i 39-ego

Nr. 61 (164). ZADANIE ILUSTRACYJNE: Pani Nr. 1 rozmawia z panem Nr. 4: „Znowu masz wieczór zajęty?" — „Może w niedzielę po południu?"; pani Nr. 2 rozmawia z panem Nr. 6: „Czyż mam w to wierzyć?" — „Tylko tyle... przecież to drobnostka"; bobo Nr. 5 rozmawia z panem Nr. 3: „Nie możemy się doczekać" — „Ogromnie... nie mogę już wytrzymać". Ponieważ tekst nasuwał niektórym czytelnikom wątpliwości, czy chodzi o rozmowę sześciu osób, czy też trzech par, uznano za trafne obydwa warjanty rozwiązań.

Nr. 62 (165). ZADANIE LITERACKIE: Poszczególne fragmenty zaczerpnięte zostały z następujących utworów: 1. „Pan Tadeusz" A. Mickiewicza, 2. „Świętoszek" Moliera, 3. „Sprawiedliwie" Reymonta, 4. „W Szwajcarji" J. Słowackiego, 5. „Romeo i Julja" W. Szekspira, 6. „Boska komedja" A. Dante, 7. „Nieboska komedja" Z. Krasińskiego, 8. „Giaur" Byrona, 9. „Wesele" Wyspiańskiego, 10. „Pamietniki" J. h. Paska.

Nr. 63 (166). ZADANIE ILUSTRACYJNE: Pierwszy fragment przedstawia pokój starszego, schorowanego pana, drugi — sypialnię uczonego, „mola książkowego", trzeci — sypialnię sportowca, czwarty wreszcie — buduarek zapalonej, niezbyt pedantycznej, kinomanki.

Trafne rozwiązanie nadesłali, zdobywając podaną w nawiasach ilość punktów, następujący Czytelnicy:

pp. Albowicz Jerzy (4, 9, 8), Boguszewska Irena (6, 8, 6), Byszewski Edward (2, 10, —), Cieglińska Zofja (6, 8, 4), Dąbowska Adolfa (— 9, 6), Herbstmanówna Dorota (2, 7, 8), Jarkowska Aurelja (6, 8, —), Kicińska Stefanja (— 9 —), Klimczak Roman (— 2, 5), Kowalska Janina (2, 7, 8), Kozłowski N. Kazimierz (6, 7, 8), Kretkowski Teodor (2, 5, 2), Łopatto Jerzy (6, 9, 4), Łuniewska Helena (— 9, 8), Niemczyński Roman (2, 8, 8), Nowicka Emilja (6, 9 —), Oborski Karol (4, 6, 6), Poraziński Ryszard (3, 9, 6), Puchowicz Kazimierz (— 8 —), Radwan Mieczysław (— 8, 4), Rzeczkowski Aleksander (6, 8 —), Silczyński Władysław (6), Sławnicki Michał (6, 4, 8), Słowikowska Dorota (6, 9, 8). Sułkowska Leontyna (2, 7 —), Tietz Zygmunt (2, 10, 8), Uklański Marjan (3, 8 —), Wesołowska Wacława (2, 6, 4), Wieleniowa Eugenja (6), Wiśniewska Teofila (— 8, 8), Wiśniewski Kazimierz (2 — 8), Zagajewski Adam (2, 8, 8), Zborowska Teresa (— 9 —), Żukowska Irena (3, 6, 8)— *z Warszawy*, oraz

pp. Aleksandrowicz Jan (6, 9, 8) — ze Lwowa (1), Bieliński Mieczysław (3, 9 —) — z Kowla, Bojarski-Czarnota Tadeusz (6, 10, 8) — z Jarocina, Borkowska Zofja (6, 8 —) — z Kutna, Bugajska Marja (6, 8, 8)—z Kłobucka (2), Czarnocka Wanda (6, 8, 2)—z Płocka, Domański Roman (6, 9 —) — z Płocka, Dorszewski Rudolf (6, 9, 8) — ze Świecia, Faliński Konrad (4, 8, 8) — z Końskich, Głaziński Aleksander (— 6, 8) — z Mińska Mazowieckiego, Grodzicki Józef (6, 7 —) — z Brześcia n/B, Horzelski Wincenty (4, 6, 8) — ze Stanisławowa, Izdebski Ryszard (— 9, 6)—z Sandomierza, Jackowski Leon (6, 8, 8) — z Piotrkowa Trybunalskiego, Janicka Zofja (6, 9, 8) — z Grudziądza, Jasiński Wacław (— 7 —) — z Horochowa, Jurkiewicz Eugenjusz (6, 10, 8)—z Wilna, Kamiński Władysław (4, 5 —) z Sochaczewa, Kiersnowski Józef (6, 6, 8)— z Baranowicz, Kolisko Mieczysław (— 8, 8) — z Brześcia n/B (3), Kowalska Marja (— 5, 6) — z Włodzimierza, Koziński Michał (— 10, 8) — ze Skierniewic, kpt. Krasiński Józef (— 9, 8) — z Krakowa (4), Krupińska Aniela (6, 9 —) — z Łodzi, Kunicki Jgnacy (6, 7, 4) — z Lublina, Lemański Zygmunt (— 9, 8)— z Wilna, Ludwicki Henryk (— 7, 6) — z Zagożdżona, Łukasiewicz Michał (— 9 —) — z Białegostoku, Malinowski Stefan (— 9, 8) — ze Lwowa, Maliszewski Kazimierz (2, 6, 8) — ze Strzemieszyc, Makowski Ignacy (6, 8 —) — z Grodna, Misiewicz Karol (6, 9, 8) — z Cieszyna, Morawski Janusz (— 5, 8)— z Bielska, Olszewska Irena (6, 9 —) — z Dęblina, Orzechowska Wanda (— 9, 8) — z Otwocka (5), Radomski Michał (— 9, 8) — z Łodzi, Rakowiecka Helena (— 9, 8) — z Lublina, Rowicki Tadeusz (— 9, 8) — z Milanówka, Rusicka Anna (— 7 —) — z Krakowa (6), Sawicka Karolina (— 8, 8) — z Białegostoku (7), Skupińska Marta (— 10 —) — z Zamościa, Sołecki Michał (— 8 —) — z Wołomina, Sosnowski Kazimierz (— 9, 8)— z Katowic, Stasiewicz Czesław (— 8, 8) z Równego, Szeliga Barbara (4, 7, 8) — z Siedlec, Tarnowski Władysław (4, 10, 8) — z Grodziska, Tobias Henryk (6, 8, 4) — z Kielc, „Tolek z Królewszczyzny" (6, 4, 8), Tyblewski Wacław (4, 6, 8) — z Poznania, Węgierski Tadeusz (— 7 —) — z Miłosny (8), Wysocka Ludwika (— 9 —) — z Dubna, Zabłocki Gabrjel (6, 9 —) — z Łucka, Zakrzewski Leon (2, 4, 4) — z Radomia, Zaleski Czesław (2, 8, 8) — z Kalisza, Zawadzka Anna (— 9 —) — z Ciechanowa (9), Życzyński Bohdan (6, 7 —) — z Nowogródka.

1. Bernatowicz Zygmunt (3, 9, 8) — z Milanówka, 2. Choromański Józef (— 8, 8) — z Tarnopola, 3. Kotowska Emilja (— 9, 8) — z Poznania, 4. Krasucka Zofja (6, 8, 5) — z Zawiercia, inż. Krudysz Jan (4 — —) — z Cieszyna, 5. Pawiński Konstanty (4, 7, 6) — z Ostrołęki, Przypkowski Wacław (2, 6, 2) — z Kobyłki, 6. Rzewicka Irena (4, 6, 8) — z Będzina, 7. Siekłucka Regina (2 — 8) — z maj. Emiluczyn, 8. Wójcik Tadeusz (6, 7, 4) — z Wieliczki, 9. Zelcer Adam (4, 10, 8) — ze Lwowa.

Nagrody książkowe przypadły w udziale następującym Czytelnikom:

p. inż. Janowi Krułyszowi z Cieszyna,
p. Zygmuntowi Tietzowi z Warszawy,
p. Mieczysławowi Kolisko z Brześcia n/B.,
p. Dorocie Słowikowskiej z Warszawy,
p. Józefowi Choromańskiemu z Tarnopola,
p. Zofji Borkowskiej z Kutna,
p. Jerzemu Albowiczowi z Warszawy,
p. Jerzemu Łopatto z Warszawy.

Uzupełnienia:

W uzupełnieniu do podanych uprzednio wykazów, zaliczono do klasyfikacji kwartalnej opuszczone wskutek niedopatrzenia pozycje: p. Tadeuszowi Czarnota-Bojarskiemu z Jarocina z Nr. 36-go 6 pkt., p. Dorocie Herbstmanównie z Warszawy z N-ru 34-go 14 pkt., p. Jerzemu Łopatto z Warszawy z N-ru 34-go 12 pkt., p. Eugenjuszowi Jurkiewiczowi z Wilna z Nr. 35 — 36-go 15 pkt., p. Wacławowi Tyblewskiemu z Poznania z N-ru 34-go 15 pkt.

Redaktor *St. Krzywoszewski.* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa.

KAKAO WEDLA



KAKAO OWSIANE

ZALECANE DLA DZIECI
I OSÓB O SŁABEM TRAWIENIU